

Cecylia Jakubowska

B i a ł y s t o k .



Nazywałam się Cecylia Jakubowska. Urodziłam się w Charkowie. Moi rodzice znaleźli się tam na skutek zaszłości wojennych. Mój ojciec był wojskowym austriackim i poddał się do niewoli rosyjskiej, z której następnie uciekł i zamieszkał w Charkowie. Natomiast moja mamusia uciekła do Rosji razem ze swoimi rodzicami – przed nadchodzącą armią niemiecką. To było chyba w 1915 r. Tam, w Charkowie poznali się i pobrali. Tam też urodziła się moja starsza siostra i ja. Rodzice szczęśliwie przeżyli epidemię tyfusu.

Do kraju powrócili przed 1922 rokiem. W tym wypadku ojciec postępował bardzo ryzykownie: posuwał się tuż za wojskami radzieckimi idącymi na Warszawę w czasie wojny polsko-radzieckiej 1920-go roku. To wszystko, o czym teraz mówię, znam jedynie z opowiadań rodziców.

W Polsce z pracą było bardzo ciężko. Rodzice moi zatrzymali się u rodziców ojca, ale i tam też nie było większych perspektyw. To było w Grajewie. W tej sytuacji wyjechali do Krynicy w okolicy Nowego Sącza, bo stamtąd pochodził mój ojciec. Tam stał rodzinny, piękny dom, który w momencie przyjazdu rodziców był obszabrowany, mieszkali w nim obcy ludzie. I znów nie było większych perspektyw. Z tego okresu zapamiętałam piękno i urok tej miejscowości.

Jednak dzięki pomocy najbliższej rodziny udało się ojcu dostać jednak pracę i to państwową, co dawało ojcu jakąś pewność na utrzymanie rodziny. Była to praca na poczcie. Wcześniej też już pracował, chyba w ochronie KOP-u czy coś z tym

związanego. Na pocztę pracował aż do emerytury, której właściwie nie doczekał. Zmarł w 1956 r. w wieku 62 lat. Natomiast mama zmarła w 1965 roku. Miała wówczas 68 lat.

Na samym początku mieszkaliśmy w Druskiennikach. Gdy starsza siostra kończyła szkołę powszechną i rodzice chcieli oddać nas na dalszą naukę do gimnazjum, ojciec poprosił swoich zwierzchników o służbowe przeniesienie. Sprawę udało się przeprowadzić dzięki mojemu wujowi, który w tym czasie był dyrektorem departamentu w Ministerstwie Łączności. Po przeniesieniu rodzice zamieszkali we Włocławku. Tam też rozpoczęliśmy z siostrą naukę w państwowym Gimnazjum im. M. Konopnickiej.

W następnych dziesięciu latach urodziło się jeszcze dwoje rodzeństwa: siostra i brat. Ponieważ ja miałam charakter raczej niepokorny widziałam, że młodsze rodzeństwo jest wychowywane w innej dyscyplinie, bardziej swobodnej. Na tym tle dochodziło do różnych dyskusji. Wówczas napisałam do wuja, że chcę pracować i żeby mi ułatwił uzyskanie pracy. Wuj załatwił mi wówczas pracę kontraktową stażystki na centrali międzymiastowej w Białymstoku. Wówczas powiadomiłam rodziców o swoich planach i o tym, że wyjeżdżam. Doszłam wówczas do siódmej klasy gimnazjum, ale matury już nie złożyłam. Zresztą miałam poważne kłopoty z matematyką, której po prostu nienawidziłam.

Widziałam ponadto, że rodzicom z czwórką dzieci było bardzo ciężko / w międzyczasie zmarł brat/, rozumiałam, że moje marzenia o studiach /medycyna/ nie mają realnych podstaw. We Włocławku przecież studiować nie mogłam, a utrzymanie mnie oddzielnie w innym mieście przekraczało możliwości mo-

ich rodziców. Wiedziałam, że na to już nie mogłam liczyć. W domu panowała atmosfera bardzo rodzinna, bardzo patriotyczna, której nie da się opowiedzieć ani porównać z tym, co jest obecnie.

Przyjechałam do Białegostoku i zaczęłam pracę na centrali międzymiastowej i jednocześnie podjęłam naukę na rocznym kursie telekomunikacyjnym, którą prowadziła poczta. Tu przyjechałam w 1938 roku. We wrześniu w 1939 r. miałam zdawać egzaminy, ale już do tego nie doszło. Nie otrzymałam odpowiedniego papierka. Natomiast te moje koleżanki, które pracowały na juzie lub na telegrafii zdążyły złożyć odpowiednie egzaminy. Ostatnio jedną z nich właśnie spotkałam. Zresztą cała poczta należała do organizacji.

W naszej sytuacji było to normalne: gdy nadchodziła wojna, nasza praca miała charakter paramilitarny. Gdy wojna wybuchła, dotyczyły nas rygory wojskowe: rozłożono materace i w pracy nocowaliśmy.

Kiedy 15-go września zawiadomiono nas, że wojsko musi kapitulować /chodzi o obronę Białegostoku/ i obrona zostaje zdjęta, to nam podziękowano. Ta uroczystość odbyła się w bardzo patriotycznym nastroju: hymn, jeszcze Polska nie zginęła, trzymajcie się, walka jeszcze się nie skończyła, wszyscy będziemy ojczyźnie potrzebni. Pamiętajcie, że dalej jesteście żołnierzami Rzeczypospolitej. Zabezpieczcie, co się da. Nie zapominajcie, że walka trwa dalej.

Starsi pracownicy zabezpieczyli co się dało. Postanowiliśmy się ze sobą kontaktować i zdecydujemy, jak mamy postąpić dalej, kiedy zarządzają naszego powrotu do pracy.

Już dało się zauważyć pierwsze działania organizacji.



Działaniami naszymi kierował pan Lipko /Lipka?/. Jak się później - po powrocie do kraju dowiedziałam - prawdopodobnie pracował w "dwójce". Jak się później zastanawiałam, to w naszej pracy musiało pracować bardzo wielu pracowników w "dwójce". Mam na myśli pracowników poczty i telekomunikacji. To dyktował charakter naszej pracy i takie były potrzeby chwili.

Gdy ukazało się obwieszczenie o zgłoszeniu się do pracy, na zebraniu postanowiliśmy zgłosić się do pracy. Przecież tam właśnie będziemy aktywni i coś będziemy wiedzieć. Tak też zrobiliśmy. Ja np. zdołałam zaobserwować pewne układy i czynności, które zdawały się potwierdzać zamiary o rejestracji oficerów rezerwy. Na tej podstawie uprzedziłam mojego narzeczonego, bo już wówczas byłam zaręczona z prokurentem banku Polskiego w Białymstoku. Nazywał się Stefan Jakubowski.

Kiedy zawiadomiłam go o tym, on już miał spakowany plecak i ze swoim kolegą, Witkiem Bojańczykiem planowali uciekć do Generalnego Gubernatorstwa. Następnie doszli do wniosku, że najlepiej będzie iść nad granicę rumuńską i próbować się przedostać się na zachód do polskiego wojska. Ci, którzy nie zgłosili się do rejestracji, ocaleli. W przeciwnym razie zginęli by w Katyniu.

Tu muszę sformułować pewne spostrzeżenie na podstawie wieloletniej obserwacji działalności bolszewickiej: oni działali sprawnie tylko wówczas, gdy była ogłoszona jakaś akcja. Po zakończeniu akcji osoba, która dotychczas była ścigana, teraz mogła pokazywać się niemal oficjalnie i nic jej nie groziło, bo akcja już się skończyła.

Mojemu narzeczonemu i jego kolegom nie udało się przejść

przez granicę. Wrócili w strasznym stanie. Granica była obstawiona psami i przejście było już w zasadzie niemożliwe. O ich powrocie powiadomili mnie państwo Gurżecowie, których śpięce powierzył mnie narzeczony przed wyruszeniem w świat. Pan Grześ Hórzec był naczelnikiem wydziału kredytowego w banku, a jego żona nie pracowała. Przez ich duży dom przy ul. Kościelnej przewinęło się wiele osób. Tego budynku już nie ma. Z ich domu bolszewicy ich wyrzucili. Stał nad Białką, czerwona, dwupiętrowa kamienica. Na tym miejscu znajduje się teraz jakaś szkoła.

Stamtąd miałam blisko do pracy. Narzeczony opowiadał, że z kolegami dostali się do Lwowa. Dalej już ruszyć się nie było można. Po powrocie postaraliśmy się o zaświadczenie lekarskie, że byłem chory i dlatego tak długo nie przychodziłem do pracy. Mąż wówczas pracował w banku, którego likwidację właśnie przeprowadzano. Bolszewicy przemianowali bank na tak zwany "Gosbank", który mieścił przy ul. Warszawskiej 14. Mąż przedstawił zaświadczenie, że chorował na silną gripę, a że sam mieszka, nie miał kto zawiadomić pracy, że jest chory. I tak to przeszło, nadal pracował. Aż do czasu aresztowania mieszkaliśmy na Staszica. Wynajmowaliśmy tam pokój u państwa Erny i Witolda Kiczlów.

O tej rodzinie należy powiedzieć kilka zdań: on był polskim oficerem, a ona była ewangeliczką i podobno w czasie okupacji zapisała się na "raichlistę". Ale oni mieli duże zakłady cieplarniane /ogrodnictwo/ i tam odbywały się regularne spotkania podziemia. Gdy w 1944 r. powtórnie weszli bolszewicy, jego aresztowali i wywiezli. Wrócił chyba w 1956. Po powrocie żył tylko pół roku.

Ich mieszkanie było bardzo duże i służyło jako magazyn dla obrazów. Kiedy przyszli aresztować pana Kiczla, mąż poszedł zabezpieczyć swoje rzeczy. Odpowiedziano mu, że jeżeli to zrobi, to pojedzie tam, gdzie jedzie gospodarz. To mieszkanie służyło ludziom ukrywającym się oraz sciganym, zwanym "bieżeńcami". Służąca gotowała duże kotły jedzenia z myślą o nich. Tam ci ludzie nie tylko jedli, ale i nocowali. Gospodarze zajmowali tylko dwa pokoje. W tych samych pokojach często nocowałam z mężem. Resztę zajmowali ludzie pobawieni dachu nad głową. Były to straszne czasy, kiedy ludzie uciekali w jedną i drugą stronę.

W wigilię Bożego Narodzenia powiedziano nam /czy może na dzień przed wigilią/ mamy ten dom opróżnić w ciągu 24 godzin. Wówczas zaczęto szukać mieszkania i znaleziono je u pp. Sztachelskich. Był to dom stojący obok domu pp. Kiczlów /stoi nadal/. Tam też przeprowadziliśmy pp. Kiczlów. Tam też mieszkała siostra pana Górzeca, Maria Arwaniti, żona pułkownika Arwaniti. Pochodzili z Grodna i mieli dwoje dzieci: Halusię i Jurka. Jurek miał jakieś 11 - 12 lat, a jego siostra była młodsza /9?/. Byli to nasi bardzo serdeczni przyjaciele.

Tam myśmy prowadzili wspólne gospodarstwo w sensie żywieniowym. Mąż starał się o zaopatrzenie. Ponieważ jeździł na likwidację różnych banczków w terenie, to mógł zawsze kupić jakieś wiktuały i oczywiście taniej. Już wówczas było bardzo trudno z utrzymaniem.

Tak to wszystko trwało do pamiętnego dnia - 12 maja. Był to dzień Zielonych Świątek 1940 r. Rano poszłam na dyżur do centrali. Natomiast mąż został w domu, bo to wówczas



był "wychadnoj " dzień. Była to niedziela. Kiedy nie zjawiałam się w domu o oznaczonej godzinie, mąż poszedł na pocztę. Tam nikt oczywiście nie umiał czy nie chciał powiedzieć co się stało.

O godz. 10 rano. - pamiętam to jak dziś - wezwano mnie do gabinetu dyrektora. Tam zastałam jakiegoś mężczyznę, cywila, bardzo eleganckiego. Widać było, że <sup>ma</sup> na sobie polskie ubranie. Ustnie wylegitymował mnie. Warunkiem wstępu na teren centrali były specjalne przepustki ze zdjęciem. Następnie powiedział, że pójdziemy. Na moje pytanie: dokąd? odpowiedział: zobaczy pani. Kiedy powiedziałam, że muszę pójść po swoje rzeczy, nie pozwolono i kogoś po to posłano.

Wyszliśmy. Prowadził mnie przez park, spacerkiem, rozmawiał bardzo przyjaźnie o Białymstoku oraz o tym, dlaczego tak mało ludzi wzięło udział w pamiętnym plebiscycie na temat przyłączenia Białostocczyzny do Białorusi.

I rzeczywiście, ludzie na ten plebiscyt szli bardzo niechętnie. Myśmy akurat nie poszli, nie spieszyliśmy. Ale po jakimś czasie przyszedł milicjant z karabinem i bagnetem i wszystkich nas / mieszkaliśmy wówczas u pp. Górzeców / zaprowadził do lokalu, w którym odbywało się głosowanie. Było to w budynku w pobliżu dawnych hal na Bojarach.

Głosowanie było farsą choćby z tego powodu, że nie było możliwości wyrażenia sprzeciwu. Myśmy tym byli bardzo zaszokowani. Otrzymywało się kartkę i nie wchodziło się za żadne kotary: dali kartkę i wskazywali - tu masz ją wrzucić. I koniec. Tu nie było żadnego wyboru, to był niezwykle przytłaczający przymus.

Przeszliśmy przez park i ten elegancki pan zaprowadził

mnie do budynku przy ulicy Mickiewicza. Tam mieściło się NKWD /obecnie sądy/. Tablica, która jest obecnie na ścianie tego budynku i której treść o tym mówi dotyczy, jak sądzę, także i mnie.

Zabrano mnie tam do jakiegoś gabinetu, do którego wkrótce weszło chyba aż trzech innych NKWD-ystów. Nigdy tam nie było tak, żeby ze mną był tylko jeden; zawsze kilku. Zaczęli mi stawiać jakiś dziwne pytania. Pytano mnie między innymi o jakiegoś Własowa. Powiedziałam, że znam takiego. Bo oni już wówczas na kierowników i kontrolerów dali swoich ludzi. Jedna z naszych kontrolerek nazywała się właśnie Własowa. Ona też jednocześnie obsługiwała linię specjalną. Było to bezpośrednie połączenie z jakimiś władzami. Nam nie wolno było do tego urzędu nawet zbliżać. To urządzenie było umieszczone na sali międzymiastowej. Ona siedziała z nami. Mogła nas swobodnie obserwować.

Chociaż w rzeczywistości rok urodzenia 1919, w dokumentach wpisałam 1920. Przesłuchujący mnie zapytali mnie, co zdarzyło się w roku 1920-tym. Odpowiedziałam spokojnie, że zdarzył się wówczas "cud nad Wisłą". Na moją odpowiedź zaczęli pokrzykiwać. Stwierdziłam wówczas: panowie, dlaczego się denerwujecie? Mnie tak uczono, a was być może uczono inaczej.

Dopiero później, po jakimś czasie zapytali mnie o organizację i pokazano mi notes. Tu muszę stwierdzić, że myśmy nie mieli w swoim gronie speców od konspiracji i nie umieliśmy konspirować. Wszystko to było dyletanckie, amatorszczyzna. Bo i skąd mieliśmy to umieć? Wspomniany notes - to było widać - był przechowywany między jakimiś deskami, za-



wierał nazwiska i nasze pseudonimy. Ja wybrałam sobie pseudonim "Chrzanowska" /związek z obroną Trembowli/. Były też tam adresy, mój też. Tłumaczyłam to w ten sposób, że ukończyłam kurs PCK i byłam siostrą PCK i z tego powodu byłam brana pod uwagę jako siostra.

To moje tłumaczenie było chyba prawdopodobne, bo po trzech tygodniach moje śledztwo zamknięto. Nie podałam żadnego nazwiska. Jeszcze wcześniej, przed aresztowaniem powiedziano nam, że w razie wpadki możemy winą za wszystko obciążyć p. Lipkę, o którym wiadano, że zdołał uknąć do Generalnego Gubernatorstwa.

Rzeczywistość, jak się miało okazać, była inna. Owszem, przszedł, ale został ujęty przez Niemców i wydany przez Gestapo na radziecką stronę. Jeszcze jeden dowód współpracy obu okupantów. Z tego też powodu później, w więzieniu mińskim miałam konfrontację w Lipkę.

Stało się to podstawą do wznowienia śledztwa w Minsku, a było to chyba w sierpniu 1940-go roku.

Natomiast tu - w Białymstoku - takie wstępne dyskusje trwały dwie doby. Nie było mowy o tym, żebym mogła zdrzemnąć się chociaż na chwilę. Jesć nie chciałam, ale piłam jakąś bryję, która miała być herbata. Oni się zmieniali, ja natomiast siedziałam na taborecie na środku pokoju i nie pozwalali mi stać. Byłam skostniała z bólu od ciągłego siedzenia. Oczywiście przez cały czas oświetlali mnie silnym światłem. Oni natomiast byli w cieniu.

Wreszcie nad ranem, kiedy już oni byli zmęczeni, postawili przy mnie "bojca ze sztykom", który reagował na każdy mój ruch. Ale przez jakieś dwie godziny miałam względnego

odpoczynku.

14-go maja z rana sprowadzono mnie do ciężarówki. Ich było czterech, a piąty, oficer, jechał w szoferce. Od ul. Mickiewicza wieźli mnie w szalonym tempie do więzienia. Ale mimo tego ktoś mnie zauważył i zawiadomił męża. Przez te dwa dni mąż pytał o mnie na milicji, ale mu odpowiadano, że nic im o mnie nie wiadomo. Powiedziano mu też, że " jeśli ona była taka, że ją należało aresztować, to ty o nią nie dopytuj się, ty jej powinienes się wyrzec, to nie jest żadna żona, jeśli władza radziecka musiała ją aresztować."

Przyczyną mojego aresztowania nie był raczej notes. Na ten temat rozmyślałam wiele. Dopiero po powrocie spotkałam się z koleżanką, Zosią Szynkiewicz; pracowała w bibliotece uniwersyteckiej w Warszawie. Była jedną z trzech sióstr i pochodziła z Zabłudowa. Jej siostrę - Bronkę - spotkałam w więzieniu białostockim. Ona też była w Rosji, ale do kraju nie wróciła. Wyszła z Rosji z wojskiem Andersa i została na Zachodzie.

Jak twierdziła po wojnie Zosia, jeden ze stołów na naszej sali miał jakiś specjalny podsłuch. Kogo przy tym stole posadzono, ten był inwigilowany. Mnie też tam posadzono i na czymś przyłapano, ale nigdy o tym mi nie powiedziano. To moje koleżanki to wydedukowały: którą przy tym stole posadzono, została aresztowana. Tam nas prawie wszystkie wykuscano. Zosię również posadzono przy tym stole, ona domyslała się prawdy i bardzo się pilnowała, a jednak coś musiała zrobić, co wzbudziło ich podejrzenie. Zpsię aresztowano tuż przed wojną niemiecko - radziecką. W chwili wybuchu była w białostockim więzieniu i zdołała uciec.

Po przywiezieniu mnie do więzienia posadzono niedaleko wejścia, w parterowym budynku. Na przeciw był wysoki budynek, w którym mieścił się najprawdopodobniej szpital więzienny. Tam przesiedziałam od rana do wieczora. Do celi zaprowadzono wówczas, gdy było już ciemno.

Jeszcze na Mickiewicza zrobiono mi rewizję i zabrano mi obrączkę, pierścioneł, bransoletki. Nie otrzymałam na to żadnego pokwitowania i nigdy już tego nie odzyskałam. Z całej podręcznej torby oddano mi jedynie dwie chusteczki do nosa. Zabrano torbę, a nawet grzebień.

Na szyi miałam złoty łańcuszek i krzyżyk i tego podczas rewizji nie zauważono. Dopiero podczas rewizji więziennej zauważono to i zabrano. I na to w więzieniu dostałam pokwitowanie.

Siedziałam w celi nr 63. Jednocześnie zostałam skazana z art. 63 Białoruskiego Kodeksu Karnego. Straż więzienna szła ze mnie pytając, w jakiej z celi chciałabym siedzieć. Odpowiedziałam, że mi jest wszystko jedno. I ja właściwie sama sobie wybrałam ten numer, bo w pracy w centrali między-miastowej miałam nr 63. Cella okazała się celą pojedynczą, a siedzenie w tej celi było straszne. Było to dla mnie tym uciążliwsze, że nie miałam żadnego obeznania z życiem więziennym. Siedząc sama w celi bardzo często odnosiłam wrażenie, że ściany celi ściskają mi głowę to znowu wydawało się, że głowę ściskają mi jakieś obręcze.

Jeden ze strażników był bardzo dobry. Po cichu wsuwał do mojej celi mydło. Dzięki temu podczas pobytu w "uborniej" mogłam się umyć. Pożyczał mi swojego grzebienia bo widział, że swoje włosy częściej palcami. Powiedział mi kiedyś, że on



by mi to oddał na zawsze, ale obawiał się rewizji i pytań, skąd to mam. Był to Polak z Leningradu w służbie czynnej. Tam, w tej części więzienia, w której byłam, wówczas były ażurowe schody umożliwiające widzenie kółku kondygnacji. W ten sposób strażnicy z różnych pięter kontrolowali się wzajemnie. On był tak dobry, że wypuszczał mnie zawsze, kiedy zapukałam i go prosiłam o wypuszczenie. Dzięki temu nie musiałam korzystać z cuchnącego kibla, który stał w celi. Widocznie te moje układy ktoś zaobserwował, bo gdy nazajutrz zapukałam, usłyszałam nieprzyjemny głos: czego? Powiedziałam, że chcę do toalety. W odpowiedzi usłyszałam, że mam przecieć paraszę. I tym strażnikiem była kobieta, ruda. Znęcała się nadejmną wyjątkowo. Była ordynarna. Wprawdzie mnie nie biła, ale często popychała, a przy tym zmusiła mnie do sprzątania ubikacji. Kiedy już wszyscy przeszli przez ubikację, wówczas słyszałam: Nu, barinia polska, idi ubornuju ubierat. A ubikacja wyglądała strasznie. O tej porze woda już nie dochodziła na to piętro i ja nie miałam nawet czym umyć rąk.

W sumie było to okropne. Z tego powodu nie mogłam tam jeść. Tylko ten jeden, wspomniany strażnik był dla mnie dobry. W czasie mojego tam pobytu przez 63 dni tylko raz wypuszczono mnie na powietrze, na spacer czyli tzw. progólkę.

W pojedynkę byłam do mniej więcej miesiąca /ok. 24-25 dni/. Po zamknięciu śledztwa ten, który prowadził śledztwo w więzieniu był stosunkowo ludzkim człowiekiem. Przy zamknięciu śledztwa zapytał mnie, jakie mam życzenia. Powiedziałam, że proszę o pozwolenie dostarczenia przez męża jakiegoś ubranie i bieliznę na zmianę. Na jego życzenie podyktowała, co mi jest potrzebne: ręczniki, szczoteczka do zębów i inne

Obiecał mi to przekazać. Zapewniał, że wystawi stosowne zezwolenie. Dotychczas, jak mówił, kontakt ze światem zewnętrznym nie był możliwy z uwagi na toczące się śledztwo. To poprawiło mój humor.

Tego samego dnia była wizytacja wice-dyrektora więzienia. Nazywał się Piotrowski. Rozumiał po polsku. Już wówczas wiedziałam, że w czasie takiego obchodu należy wstać i zameldować się: imię i nazwisko oraz artykuł, na podstawie którego zostało się oskarżonym czy skazanym. Przy tej okazji dowiedziałam się, że u nich należało odpowiadać ściśle tylko na zadane pytania. Nie wolno było nic dodać od siebie, gdyż natychmiast albo ciągnęli za język albo stosowali złośliwości.

Podczas wizytacji naczelnik wypytywał, jak ja się tu czuję. Odpowiedziałam, że bardzo źle w celi pojedynczej i że już prosiłam śledczego o przeniesienie do celi, gdzie będą inni. Powiedziałam wprost, że nie wytrzymuję nerwowo siedzenia w pojedynczej celi. Naczelnik powiedział:

- A, to śledczy wam to obiecał? No, charaszo, charaszo. Po wizycie byłam spokojna. Sądziłam, że sprawa przybrała dobry obrót i że można uważać ją za pomyślnie zakończoną. Tymczasem tego samego dnia, późnym wieczorem przyszedł konwojent /sądziłam, że przyszedł po mnie, aby mnie przeprowadzić do innej celi, sięgnęłam nawet po kapelusz/, ale już na początku zorientowałam się, że chodzi o coś innego. Już wkrótce nie miałam wątpliwości, że prowadzi mnie do administracyjnej części więzienia. Trochę znałam rozkład budynków więziennych, gdyż mój wuj był przed wojną naczelnikiem więzienia. Nazywał się Kazimierz Roszkowski. W części administra-

cyjnej znajdowały się mieszkania pracowników więziennych. Wprowadził mnie do gabinetu, który z wyposażenia miał charakter zupełnie "cywilny". Nawet pamiętam, że stała tam piękna szafa z brzozy karelskiej /pamiętam, bo taka szafa była w moim domu/. Za biurkiem siedział zastępca naczelnika, który wizytował więzienie.

Zaczął ze mną rozmowę wypytyując o różne sprawy rodzinne. Twierdził, że mąż już o mnie zapomniał i że nie należy na niego liczyć. Wreszcie zaproponował mi, że owszem, przeniesie mnie do innej celi, ale w zamian ja będę mu donosić. Stwierdził, że nie będę miała z tym trudności, gdyż jestem "dowierczywa" czyli budząca zaufanie. Zresztą to będzie dla dobra Sowietskowo Sojuza.

Ta męcząca rozmowa ciągnęła się chyba godzinami. Ja przez cały czas opierałam się. Wreszcie powiedziałam: proszę pana, jak pan to sobie wyobraża? Ja zgodzę się, a czy pan będzie miał do mnie zaufanie, bo mnie przecież zależy na pana szacunku. Jeśli ja będę zdradzać swoich, to czy pan będzie miał do mnie zaufanie na tyle, żeby mieć pewność, że nie będę zdradzać Sowietskowo Sojuza? Nic z tego nie będzie. Mnie tak wychowano, że mój honor na to nie pozwala na takie postępowanie.

Takie rozmowy powtarzały się kilkakrotnie z każdorazowo po kilka godzin. Innym razem obiecywał "góry - mury", że będę otrzymywać jedzenie z kantyny, że mnie wypuszczą natychmiast po tym, gdy wykonam to, co do mnie należy. Twierdził też, że ja mu się bardzo podobam. W pewnej chwili powiedział, że jeśli się przekonam, że nie jestem zdeklarowanym wrogiem Związku Radzieckiego to kto wie, może by i ze



mną się ożenił.

Odpowiedziałam, że jestem mężatką.

- O, waż mąż? Jego tu już nie ma, uciekł. Nie może pani liczyć na jego pomoc.

Takie rozmowy toczyliśmy przez jakieś 5-6 nocy. Przez cały czas on przedstawiał swoje racje, a ja swoje. Reszcie powiedział: dobrze, to pójdzie pani do swojej celi. I wydał stosowne polecenia do konwojenta.

Kiedy wyszliśmy stwierdziłam, że nie prowadzą mnie do gór, lecz gdzieś na parter. Reszcie otworzył drzwi do jakiejś celi. Zobaczyłam, że tam kobiety leżą dosłownie pod progiem i przy paraszy, straszliwie ścisnięte.

Wartownik powiedział, że bym weszła do środka. Powiedziałam, że wejście jest niemożliwe bo nigdzie nie ma wolnego miejsca. W tym właśnie momencie wywołano nazwisko jakiejś Polki - więźniarki z dodatkiem: sobirajsia z wieszczami. Konwojent, który mnie przyprowadził, przyjrzał mi się dokładnie i powiedział: Jakubowska, zajmujcie miejsce tej, która właśnie wychodzi. Jak się później okazało, było w tej celi 18 prycz, które na dzień były podwieszane do ścian na specjalnych hakach. Na środku celi stał stół i ławki do siedzenia. Tak było za polskich czasów. Teraz nie było na to miejsca. Na wąskiej pryczy leżały dwie osoby. Ta, która była wezwana, zwołnika miejsce, ale kobiety, gdy zaczęłam wchodzić, podniosły niesamowity wrzask: co? Nowa i od razu na pryczę? Okazało się, że w celi była rotacja. Strażnik powiedział groźnie: jeśli cokolwiek zrobicie tej nowej, to będzie hydrant w robocie. A stosowanie hydrantu to była straszna rzecz: polewanie więźniów wodą pod dużym ciśnieniem. Joś ta-

kiego przeżyłam raz, właśnie w tej celi. Polewano po wszystkich tak, jakby gaszono pożar. Ciało po takim zabiegu było posiniaczone.

Kiedy wchodziłam do celi, był czerwiec, upały. W celi był wyjątkowy odor niemytych ciał. Do tego była jeszcze parsza. W swojej celi pojedynczej miałam pod tym względem bardzo dobrze, tam nie było nawet insektów. Kiedy weszłam do środka i przyjrzałam się, jaki tu jest brud, bałam się gdziekolwiek usiąść. Nie wytrzymałam i zapytałam najbliższą osobę /która mi później okazała wiele serca, pracowała chyba u fotografa najprawdopodobniej przy ulicy Kilińskiego/, czy tu są wszy. Ta pani powiedziała mi na początku: proszę siadać. Tu są różne kobiety i pewnie będą pani dokuczać. Powiedziała mi, że tu są wszy, ale "przyzwyczaj się pani", pocieszyła.

A tam były straszne wszy. Gdy tylko przysiadłam, już poczułam, jak wesz maszeruje po mnie. Początkowo zbierałam je, wielkie jak krowy. Były też pluskwy. Już pod koniec pierwszego dnia miałam całe ciało jak jeden wielki bębel. Dokucliwe były też pluskwy. Kiedy nam przynoszono zupę czy jakiś napój, trzeba było zakrywać naczynia, bo pluskwy padały jak deszcz z sufitu.

W ścianach były spore dziury. Kiedy przebywałam jeszcze w celi pojedynczej często słyszałam głośne stukanie. Nie wiedziałam, co to się dzieje. Kiedy przyszła do celi zbiorowej dowiedziałam się, że jedna z Polek - więźniarek powiesiła się na haku do mocowania prycz. Wówczas to służby więzienna, aby temu zapobiec, powyrywała wszystkie haki ze ścian. Czyniono to ordynarnie, z cementem, z "mięsem". Od tego czasu

Łóżek już nie podwieszano. Więźniowie w ciągu dnia przebywali - w znacznej części - pod łóżkami i na pryczach. A miejsce pod pryczą było bardzo dobre bo ograniczało kontakt z otoczeniem.

W tej celi przeżyłam wiele. Gdy byłam w celi pojedynczej byłam dziewczyną głęboko wierzącą. Często siedziałam na swojej pryczy, patrzyłam w jeden punkt na ścianie i gorąco się modliłam. Do głowy przychodziły mi myśli: czy ja kiedykolwiek wyjdę na wolność? Czy mnie wypuszczą czy może wysłą w etap? W pewnej chwili na ścianie zobaczyłam jaśniejszą cyfrę 63. To najprawdopodobniej, jak teraz to sobie wyjaśniam, tak ułożyły się promienie słoneczne. Ale cyfrę "63" widziałam wyraźnie.

Kiedy przyszedłam do celi ogólnej, często w grupie zastanawialiśmy się, co z nami będzie: czy nas wypuszczą czy może pójdziemy w etap. Skoro miałyśmy skończone śledztwo, innych możliwości nie było. Tam gdzie byłam, tylko jedenastu kobiet było więźniami politycznymi. Resztę stanowiły - to najczęściej - spekulantki, ujęte na granicy przemytniczki oraz bardzo dużo było prostytutek. To właśnie na św. Jana władze dokonały na nie obrawy i wpakowano je do naszej celi. Nasza cela była chyba pierwotnie przewidziana na 18 osób, bo tyle było prycz. A w rzeczywistości nas tam była ponad setka. Można tylko sobie wyobrazić, co się tam działo.

Upały były niesamowite. Nie było żadnych kocy, żadnych pryszniców. To było coś makabrycznego. Opowiedziałam kiedyś koleżankom, że widziałam swego czasu na ścianie liczbę 63. Powiedziałam, że się coś ze mną stanie: albo mnie na wolność wypuszczą, że będzie to 6.3./marca/, że może po wyj-



dę po 63 dniach, albo że może będą mnie trzymać do 63 roku. Domysły były różne, ale ja z całą stanowczością upierałam się, że coś musi się stać.

Zagarnięte w obławie prostytutki przywlokły do więzienia dezynterię. W naszej celi sporo osób na tę chorobę zapadło, także i ja. Wówczas po celach chodził pan Piotrowski z lekarzem dyżurnym i w notesie zapisywali osoby, które miały krwawą biegunkę. Te osoby miały być wkrótce zabrane do więziennego szpitalika. Kiedy i ja się zgłosiłam, pan Piotrowski powiedział:

- Etu nie. Etu astaw.

I zostałam w tych makabrycznych warunkach. W tej ciasnocie nawet korzystanie z paraszy było niemożliwe. Zresztą załatwianie się na oczach wielu osób było wyjątkowo poniżające. Wyraźnie starano się zrobić z nas ludzkie szmaty i upodlić ostatedznie. Ja w takiej sytuacji umawiałam się z inną więźniarką, że niby parasza jest pełna i że trzema ją wynieść. To dawało szansę przykucnięcia, choćby na chwilę w więziennej ubikacji. Tak udało mi się załatwić chyba dwa razy.

Kiedy tak w pośpiechu załatwialiśmy się, nagle ktoś zajął przez wizjer. Po chwili drzwi gwałtownie otworzyły się i do środka wtargnął wartownik. Chwycił nas kolejno za kołnierz, wyrzucił na zewnątrz, następnie kopnął paraszę i wściekle zawołał:

✱ Nielzja. Nie razreszajetsia. Uchadi.

Wspomniałam już, że swego czasu przeżyłam kąpiel hydrantem. Było to następstwem buntu więźniarek kryminalnych, bo politycznych było mało i z tego powodu one były zastraszone.

Zresztą bałyśmy się nawet tych kobiet, kryminalistek, strasznych kobiet, które niewątpliwie pochodziły z marginesu społecznego. Nie miałam tam łatwego życia. Rosjanie nazywali mnie z przekąsem "płskaja barinia", a więźniarki polskie mówiły o mnie, też ze złośliwości - "paniusia", skąd ona tu przyszła, skoro jej wszy nie podobają się.

Przez wiele lat starałam się o tym nie pamiętać, z nikim o tym nie mówić. Dopiero od kilku lat, gdy zaczęto mówić o sprawach sybirackich, zaczęłam to sobie przypominać. Staram się ~~otw~~ierać "klapki pamięci", ale nie wszystkie się otwierają.

Wówczas to zastosowano wobec nas hydrant. Po tym "zabiegu" byliśmy posiniadzone. Ciśnienie wody było bardzo duże, ale jednocześnie byliśmy orzeźwione i troszeczkę wykąpane, przynajmniej z wierzchu.

Jak sobie obliczyłam, 55 dni mojego pobytu w więzieniu wypadało gdzieś mniej więcej na 14-gó lipca. Oczekiwałam, że do tego czasu lub w tym dniu musi coś się stać. Tymczasem na jakieś trzy, cztery dni wcześniej wywołano mnie z uwagą: sobirajsia z wieszczami. Tu muszę dodać, że nie otrzymałam paczki przyobiecanej przez sędziego śledczego, bo temu sprzeciwił się naczelnik. Nie miałam też żadnej korespondencji. Zabrałam więc swój kapelusik z francuskiego filcu, dzięki czemu mogłam go składać i podkładać pod twarz w czasie snu. Pełnił więc rolę poduszki, tak jak żakiet był moją pościelą lub kocem do przykrywania się, gdy było chłodniej.

Poprowadzono mnie na dół to tego budyneczku, do którego trafiłam na samym początku, tuż po przywiezieniu. To był bu-

dynek straszny: zza ścian dochodziły potworne jęki katowanych ludzi, krzyki. Co jakiś czas do pomieszczenia wchodził NKWD-ysta w białym fartuchu i pytał, czy już byłam tam, na "daprosach" czyli badaniach. Gdy odpowiadałam, że jeszcze nie, mówił: niczewo, niczewo, jeszcze budietie.

Nie wiem, czy to wszystko było aranżowane. Ale przez 10 godzin, które tam spędziłam, ciągle wysłuchiwałam tych strasznych jęków. Przez niezamalowane szyby / to dziwne, bo Rosjanie przecież wszystko na ogół utajniają / widziałam, jak wleczono pod pachy jakiegoś człowieka w kolejarskim mundurze. Pociągnięto go do budenku, który stał na przeciw. Jak się później dowiedziałam, był to szpital. Godziny, które tam spędziłam, były potwornym koszmarem.

Po jakimś czasie przyszła do mnie strażniczna, zrobiła rewizję, a następnie zaprowadzono mnie do celi. W tym czasie miałam głowę pełną straszliwego jęku i nieludzkiego wycia.

Po jakimś czasie posadzono mnie w pustym pokoju samą. Przez długi czas nikt do mnie nie przychodził. Przyszła pora obiadu, ale jedzenia nie otrzymałam. Zjadłam chleb, który otrzymałam na cały dzień /400 gramów/. Wcześniej, gdy wychodziłam z celi, nieżyczliwe mi kobiety, jędze, naigrawały się ze mnie: O, masz swoje 63 dni, pomódl się do swojej Matki Boskiej. Oczywiście na to zupełnie nie reagowałam.

Wieczorem, gdy już było zupełnie ciemno, przyszedł konwojent i zaprowadził mnie do tej samej celi, ogólnej. Gdy tam się znalazłam, to życzliwe mi panie przyjęły mnie bardzo serdecznie. Natomiast jędze zrobiły wielkie oczy i nie wiedziały, co o tym sądzić. Nikt zresztą nie wiedział, co o



to znaczy. Nie wykluczone, że mnie wzywano po to, aby wyciągnąć ze mnie informacje na temat tego, co się mówi w celi.

14-go lipca, dokładnie w 55 dni od mojego aresztowania usłyszałam:

-Jakubowska Cecylia Władysławowna, sobirajties s wieszczami.

Zawieziono mnie na dworzec /chyba Białystok Fabryczny/. Wagony nie były towarowe lecz tak zwane "wagonzaki", to znaczy wagony osobowe przystosowane do przewozu więźniów. Okna w nich były zakratowane, a oprócz tego były też specjalne blachy. Jeśli ktoś źle się sprawował, opuszczano blachę i wówczas traktowano to jako karcer. W takiej sytuacji dookoła była blacha. Wagony miały dwa poziomy. Znalazłam się na górnym poziomie i miałam nad sobą tylko sufit. Tam zobaczyłam przyklepionego do ściany orła. Był wykonany ze świecy /stearyny/, a obok niego był wydrapany słupek nazwisk /szkłem czy agrafką/. Przez jakiś czas pamiętałam nie które nazwiska, teraz nie już niestety nie pamiętam. Cdnoszę jednak wrażenie, że gdy czytałam książkę Andersa, w której znajduje się rozdział o Katyniu i jeszcze jakąś książkę na ten temat - a przy tych nazwiskach było jakieś zdanie mniej więcej takiej treści: wyprowadzają nas, każą zakładać ręce na kark i robią pierzekliczkę /sprawdzają tożsamość - gpnia gdzieś, ale nie widzimy stąd, dokąd. Był też dopisek, Stacja Wiszniowka /lub coś takiego/. Zestawienie fragmentów lektur oraz te napisy w wagonie pozwalają na snucie domysłów, że tymi wagonami wieziono naszych oficerów do Katynia. Takie było we mnie przeświadczenie. Może źle dedukuję, ale tak myślałam.

Pociągami dotarłam do mińskiego więzienia. Znalazłam się w celi w tak zwanej "koniuszni". Była to część dawnego zamku sapieżyńskiego. Pokoik miał długości do 4m, a szerokość na wzrost dorosłego człowieka. Było nas w celi 22. Gdy kładliśmy się po jedenaście z każdej strony, to leżeliśmy dosłownie jak szproty. Leżeć można było tylko na boku, oczywiście na cemencie. Nogami sięgałyśmy sobie wzajemnie gdzieś do połowy brzuchów.

Tu również nie brakowało wszy. Dla odmiany nie było pluskiew, ale za to były pchły. Nasza cela była mniej więcej na przeciw ubornoj. Drzwi były drewniane, ale bardzo grube, jak to w stajni. Postanowiliśmy zrobić w drzwiach małego wizjerek. Miał to być taki otworek, jaki przegryza kornik. Jedna z pań miała dosyć dużą agrałkę, którą cierpliwie pracowano, na zmianę bo palce mdlały. Wywierciliśmy ten otwór. Przy tym otworze pełniłyśmy ciągle dyżury i miałyśmy wgląd na wejście do ubikacji. Dzięki temu doskonale wiedziałyśmy, kto nowy przybył do więzienia, a kto już tu nie jest. Zresztą na ścianach ubikacji też prowadzono korespondencję. Był oddzielny dział: kto był z Białegostoku, tam się podpisywał. W tym "dziale" Białostocczan znalazłam nazwisko Dąbrowskiego, naczelnika poczty. To właśnie on był przewodniczącym komisji egzaminacyjnej kursu, na który zaczęłam uczęszczać, ale go nie skończyłam. Oprócz tego widziałam na własne oczy kilku pracowników poczty. Ale niestety, nie mogę przypomnieć sobie ich nazwisk. Zapamiętałam sobie tylko Dąbrowskiego.

Co jednak najważniejsze, spotkałam konspiratora ze swojej trójki, do którego zanosilałam meldunki. Był to Romek

Tymiński. Przed wojną był zawodowym oficerem: porucznikiem 42 pułku piechoty z Białegostoku. Był ranny na froncie. Po powrocie mieszkał w Supraślu. Jako łączniczka jeździłam do niego kilkakrotnie / nie pamiętam dokładnie, ile razy/. Teraz bym już tam nie trafiła. Zresztą Suprasl zmienił się zasadniczo, rozbudował. Po wojnie opowiadałam o tym księdzu Piotrowskiemu, który był serdecznym przyjacielem porucznika Tymińskiego. On, ksiądz, spotkał brata Tymińskiego, który przyjeżdżał z Wrocławia po wiadomości, co się z bratem stało. Jak się bowiem okazało, byłam ostatnią osobą ze znajomych, która z całą pewnością widziała żywego Romka Tymińskiego.

On podpisał się w grupie Białostoczan. Ja również. Dzięki temu mogliśmy wymieniać między sobą grypsy. W jednym z grypsów napisała, że postara się tak pokierować sprawą, żebyśmy mogli porozmawiać bezpośrednio. On był w dalszej celi. Robił to w ten sposób. Strażnik, po otwarciu drzwi do ubikacji, otwierał celę. Więźniowie kolejno wychodzili na korytarz i tu stali pod ścianą. Wówczas strażnik wchodził do opuszczonej przed chwilą celi i dokonywał rewizji. Następnie więźniowie wchodziłi do ubikacji. Powrót odbywał się w odwrotnej kolejności: więźniowie wychodzili na korytarz i czekali. Strażnik tymczasem sprawdzał ubikację, czy tam nie zostawiono czegoś zabronionego. Dopiero wówczas wracali do swojej celi.

Tymiński z kolegami tak się umówił, że on szedł pierwszy a jego koledzy strasznie się guzdrali przy wychodzeniu. On szybko podchodził pod moją celę i można było porozmawiać. Tak rozmawialiśmy kilkakrotnie. Aż jednego razu zła-



pano go na tym. Strażnik, gdy zauważył, że rozmawiamy, zostawił swoje dotychczasowe zajęcia, podbiegł szybko do Romka i zaczął go bić olbrzymimi kluczami. Widząc to podniosłszyśmy niesamowity tumult w celi. Niektóre z nas miały blaszane miseczki, kubki i to w tym celu wykorzystaliśmy. Strażnik słysząc to musiał przerwać bicie i podejść do drzwi naszej celi, a tym samym zaprzestał bicia.

Wracam do wspomnień wrześniowych 1939 r. Nie wierzyliśmy w pierwszej chwili w to, że Rosjanie wchodzą do Polski. Uważaliśmy to za działalność piątej kolumny. Po dwudziestym wrześniu zauważono pierwszych żołnierzy radzieckich w mieście oraz zaobserwowano ich kontakty z miejscową komendanturą niemiecką.

Domyslailiśmy się, że są toczony jakieś pertraktacje. Po kilku dniach Niemcy zaczęli wycofywać się. My z ukrycia obserwowaliśmy, co się dzieje. W kilka godzin po wyjściu Niemców do miasta wkroczyli Rosjanie. Obwieszczenia w językach polskim i rosyjskim nakazywały zachowanie spokoju oraz powrót na dotychczasowe miejsca pracy i otwarcie sklepów. Wszystko to było zagrożone sankcjami i sądem wojskowym.

Powoli z ewakuacji zaczęli wracać pracownicy naszej administracji. Zaczęliśmy się spotykać i wspólnie zastanawiać: co dalej? Czy wracać do pracy? Zdania były podzielone. Ciągłe ukazują się nowe obwieszczenia. Dochodzimy do wniosku, że powinniśmy wrócić jednak do pracy. To nam pozwoli otrzymywać wiadomości. Trzeba mieć oczy i uszy otwarte bo to może być pożyteczne dla okaleczonej ojczyzny.

Kiedys Lilka Dzitkowska zaprosiła mnie do swojego domu, tam złożyłam przysięgę na krucyfiks. Było to chyba 29.X.39r

Wracam do więzienia w Mińsku, do momentu, kiedy to zaczęto bić porucznika Tymińskiego. W celi - jak już powiedziałam - zrobiliśmy straszny hałas. Strażnik, gdy zaczęliśmy stukać w blaszanki i kopać drzwi, przestał bić i zwrócił się do nas z pytaniem, dlaczego tak hałasujemy. Wśród nas była jedna pani, która doskonale знаła język rosyjski, a przy tym wyjątkowo energiczna, zawołała, posługując się zwrotami "po matuszka", dlaczego strażnik bije więźnia? Przecież radziecka konstytucja wyraźnie tego zabrania, nie wolno bić więźnia.

Jeszcze tej samej nocy dyżurująca przy wzierniku słyszała, nawet nas z tego powodu obudziła, że coś się dzieje. Wyraźnie było słychać szum. Nie widzieliśmy nic, bo to wszystko działo się poza polem naszego widzenia. Słyszeliśmy jednak, że wyprowadzają mężczyzn z celi. Więcej już żadnego kontaktu <sup>tut</sup> z nimi nie mieliśmy. Porucznik Tymiński miał długą brodę i do złudzenia przypominał postać Zygmunta Augusta z obrazów Matejki. Był bardzo wymizerowany. Zresztą widziałam, jak mężczyźni podbiegali do kosza i wybierali z niego resztki jedzenia, niedopałków.

Widząc to postanowiliśmy im pomóc. Ponieważ niektóre z nas nie zjadały wszystkiego / m.in. ja z powodu ciąży /, odkładałyśmy po kawałku i składałyśmy to w ubikacji w umówionym miejscu. Kiedyś zauważył to strażnik i zaoszczędzone jedzenie podeptał, a następnie wyrzucił.

Wówczas zmieniliśmy nasz system. Te kobiety, które otrzymywały paczki, odrywały po kawałku czystych szmat /np. z bielizny/, w te szmatki zawijały jedzenie i wkładały do kosza na śmieci /właściwie to nie był kosz, lecz żelazna beczka/.

Stamtąd nasi panowie zabierali zostawione im przez nas jedzenie.

W tymże mińskim więzieniu byliśmy świadkami, jak do pojedynczej celi obok nas przyprowadzono jakiegoś oficera, chyba w stopniu majora, oficera NKWD. Prowadzono go z epoletami i ze wszystkimi odznaczeniami i dystynkcjami, oczywiście jako więźnia. Wcześniej - jak zaobserwowałyśmy - tę celę przygotowywano: wybielono starannie, przyniesiono koce i prześcieradła, poduszkę.

Ten oficer był bardzo wielkoduszny wobec naszych panów. Przez szczeliny /budynek był drewniany/ podrzucał im papierosy. Tak trwało to przez jakiś czas, może przez 5 dni. Któregoś dnia przywleczono go do celi strasznie zbitego, wyglądał okropnie. Którejś nocy usłyszaliśmy straszny krzyk i tupot. Jak się wkrótce dowiedzieliśmy, więzień powiesił się. Strażnik, gdy otworzył drzwi zobaczył wisielca. Nasza koleżanka, która akurat dyżurowała przy wzierniku też widziała go wiszącego. Natychmiast nas obudziła wołając, że "nasz major" powiesił się, bo myśmy do niego odnosiliśmy się życzliwie.

Po jakimś czasie odkryliśmy jego pożegnalny napis, wydrapany, skierowany do żony i synka. Kiedy otwarto drzwi, widać było półeczkę i jakieś fotografie. On był w innych warunkach i początkowo był traktowany inaczej. Jego pożegnalny napis miał formę wiersza. Pisał coś takiego, że "nie pomoże ni Boh ni aptieka ani pamięć dobrych ludzi". Następnie zwracał się do Boga z wezwaniem "spasi człowieka" czy coś takiego. Przepraszał i żonę i synka i prosił żonę, by wychowała go na dzielnego człowieka. Stwierdzał, że musi odejść, bo nie



nie może tego przeżyć. Był to dla nas, w czasie pobytu w więzieniu, wyjątkowy moment.

Ja stawiałam się coraz cięższa. Było mi coraz ciężej, brakowało mi dosłownie miejsca. Była z nami bardzo serdeczna dziewczyna, miała na imię Marylka /nazwiska jej nie oamiętam/. Była siostrzenicą proboszcza z okolic Białegostoku, czy nie z Turośni Kościelnej, może z Juchnowca. Ona mi zrobiła różaniec z chleba. Ją aresztowano w lutym. Wówczas była wyjątkowo ciężka zima i ona miała trochę ciepłych rzeczy. Popruła swoją chustkę ciepłą i z niej zrobiła mi ciepłą bluzeczkę. Bluzeczkę zrobiła szydełkiem, które wykonane było z kawałka różgi z więziennej miotły do zamykania celi. Ona spała krótko w dzień, a noc spędzała siedząc na paraszy. Tak odstępowala mi swoje miejsce na rzecz mojego przyszłego dziecka.

To ją bardzo wycieńczało. Gdy więc był obchód lekarski - bo takie obchody bywały - wówczas lekarzowi powiedziano, że powinni mnie przenieść, nie mogę zostawać w tych warunkach. Zresztą zaczynało się robić coraz zimniej, na ścianach pojawił się szron.

Wysłuchano prośby i przeniesiono mnie do tak zwanej "śmierthnej Kamiery". Była to w zasadzie cela śmierci. Tam było nas trzy. Jedna z nas była z otwartą gruźlicą. Były też trzy prycze, przykute do ścian. Okna nie było. Podobno był tu kiedyś jakiś wywietrznik, ale dawno został zatkany jakimś kłakiem. Wymiana powietrza odbywała się na korytarz. Moja współlokatorka z otwartą gruźlicą miała orzeczoną wyrok śmierci. Była Białorusinką, pochodziła z Witebska. Była zwykłą kołchoźnicą, ale coś tam nieostrożnego powiedział. Uznano ją za przestępcę polityczną i za to otrzymała wyrok śmierci.

Wiele o sobie nie mówiła, ale to powiedziała. Następnie ten wyrok zamieniono jej na dziesięć lat. Była prątkująca i pluła krwią.

Druga więźniarka była również w ciąży. W duchu nazywałam ją Horpyna. To była straszna kobieta: wysoka, dziewczyna, która tłukła się "pod płotami". Tak prowadząc się zaszła w ciążę. Zresztą ona tak starała się, żeby na jesieni być w ciąży. Wówczas postarała się o jakąś awanturę, zabierano ją do więzienia. Miała w ten sposób dach nad głową na zimę. Za czyn hulikański otrzymywała rok więzienia. Przechowywała w więzieniu i odchowowała dziecko do trzech miesięcy, spacerując do żłobka. Następnie dziecko zabierano do domu dziecka, ona wychodziła na wolność i wszystko zaczynało się do nowa.

Jej zachowanie się było straszne. Ona kilkakrotnie doprowadziła do tego, że dostałam kilkakrotnie ataków nerwowych. Znęcała się nade mną m.in. w ten sposób, że gdy miałam dyżur, kopnęła paraszę i wylała jej zawartość, którą ja musiałam sprzątać: Nu barinia polska, ubieraj.

Nie pamiętam już, kto mi podarował proszek do zębów, szczoteczkę i mydło. Wówczas Horpyna - na imię miała Natasza - wrzuciła to wszystko do paraszy i mówiła z przekorą i ze zdziwieniem: zuby rozmywat? Tożę...

Innym razem wyszłam do ubikacji, ona wzięła mój li/chy siennik, wyrzuciła go na podłogę i ja znowu musiałam sprzątać, a mi wówczas było tak ciężko. A przy tym ciągle groziła, że pobije mnie deską. Przechwalała się też, że w jakiejś poprzedniej celi zrobiła to jakiejś Bronce "tożę Palaczce", że ta urodziła martwe dziecko. I ciągle mnie w ten sposób

gręczyła.

Ponieważ czułam się coraz gorzej, chorowałam na grypę, lekarka wypisała- nie mnie, a dziecku - filiżankę mleka. Zanim ta szklanka mleka dotarła do mnie, to było już go tylko połowa małej filiżanki. Ale i to jeszcze było za dużo. Kiedy w drzwiach otwierano drzwiczki, aby podać to mleko, to Horpyna podbiegała i tak mi to mleko podawała, żeby je trącić i żeby jeszcze trochę się go wylało.

To było mleko dla mojego dziecka. Od tego czasu minęło wiele lat. A ja dziś, gdy wylewam mleko do garnka, to liczę krople, które przypadkiem się wyleją. Nie mogę się pozbyć pewnych przeżyć.

Grypa rzuciła mi się na uszy, dostałam zapalenia ucha środkowego. Lekarka, a właściwie lekarz laryngolog, bo ból rozsadzał mi głowę, a przy tym była wysoka temperatura, którego wezwano, ten zlecił ~~mnie~~ przeniesienie mnie natychmiastowe do więziennego szpitalika. Widac było, że to ludzki człowiek. Spojrzał na mnie i powiedział, a właściwie zapytał: czy pani jest w odmiennym stanie? Gdy potwierdziłam - powiedział: kieruję panią do szpitalika, tam pani będzie lepiej to przenieść.

W szpitaliku byłam aż do 4 stycznia, kiedy mnie skierowano w etap do Witebska. Byłam tak słaba, że trzeba było mnie ubierać. W Witebsku był żłobek dla dzieci. Oczywiście nikt mi tego nie powiedział, domyśliłam się tego znacznie później. Powstała taka sytuacja, że był remanent 30 grudnia. Ja w tym czasie miałam wysoką temperaturę i dostawałam okropnych dreszczy. Wówczas przyniesiono mi dodatkowe koce. Jeden z tych kocy był taki, jakie wytwarzano przed



wojną w białostockiej fabryce. Widocznie ten koc dostał ktoś jako "pieredacze" czyli paczkę więzienną. Na niektóre sytuację nie umiem jeszcze znaleźć polskich słów i muszę posługiwać się rosyjskimi. Ten koc podobno został po jakimś zmarłym Żydzie.

Komisja zaczęła przeliczać kocy i stwierdziła, że mam cztery koc. Wówczas powiedziała, że mam pięć kocy. Wówczas kierowniczka stwierdziła z naciskiem: nie masz pięciu lecz cztery kocy. Przecież jeden z nich jest niekazionny /nadziebowy, niezarachowany/. A ja nadal upierałam się, że mam pięć. To zdarzenie jest dowodem, jak dalece uczciwie byliśmy wychowani przed wojną: niech będzie "niekazionny", ale on nie jest mój.

Po wyjściu komisji przyszła kierowniczka i ze szczerym zdumieniem tłumaczyła: przecież była taka okazja, przecież będziesz miała dziecko, to ci się przyda. Mogłaś nic nie mówić. A mnie do głowy nawet nie przyszło, że ja mogę przywłaszczyć coś cudzego. Jak z tego wiadać, myśmy byli wychowani jakoś "dziwnie". Prawdopodobnie teraz bym tego nie zrobiła. Chyba się już nauczyłam czegoś innego.

Czwartego przeprowadzono mnie do innego miejsca. Temperatura spadła dosłownie w przedzień. Uszy się poprawiły mi znacznie, czułam się lepiej. Ale dokuczał mi wrzód w gardle. Ponieważ nie miałam temperatury, ubrali mnie w jakąś "ciełogrejkę". Skierowano mnie do jakiegoś pokoju, który pełnił rolę poczekalni. Kiedy tam weszłam, stwierdziłam z przestraszeniem, że tam była Natasza /Horpyna/ i jeszcze jedna dziewczyna, także w odmiennym stanie. W tym pokoiku spędziłyśmy prawie cały dzień w oczekiwaniu na transport.

Kiedy byłam w szpitaliku, otrzymywałam, ze względu na dzie

ko i jako ciężko chora, otrzymywałam białe pieczywo. Dawano mi też cukru w ilości, która zmieściła by się w połowie pudełeczka od zapalek. Cukier odkładałam, bułkę suszyłam na kaloryferze. Czyniłam to z myślą o podróży.

Przed wyjazdem panie wyposażyły mnie w szczoteczkę do zębów, mydło. Na to wyposażenie panie uszyły mi specjalny woreczek / z kawałka siennika/. Jedną z pań, Wanda Dzediul, żona sędziego gdzieś z Wołynia w ogóle nie chodziła. Stała się siedziała. Ona też była po porodzie, pół roku. Podczas aresztowania dziecko zostało z jej matką, a ją zabrano. Co się z nią później stało - nie wiem. Miała zupełny bezwład obu nóg.

Wówczas to, jeszcze w Mińsku, spotkałam "Różę". To był jej pseudonim. W rzeczywistości nazywała się Jasionowska Rozalia. Należała do Polskiej Organizacji Wojskowej i pochodziła z Grodna. Teraz niedawno spotkałyśmy się. Ona mnie odnalazła poprzez "Sybiraka". Nadal ma świetną pamięć. Napisała do mnie i nawiązałyśmy kontakt. Była u mnie, przysyłała też do mnie swoją koleżankę. Róża przyjeżdżała do mnie na uroczystość poświęcenia sztandaru pułkowego.

Wreszcie przyszła pielęgniarka, konwojenci. Mnie strach ogarnął na myśl, że będę podróżować w tym strasznym towarzystwie. ~~Xkaxwx~~ Wcześniej od Wandy otrzymałam kawałek hałeczki, z którego uszyłam dziecku koszulkę. Szyłam igłą wykonaną z zęba grzebienia. Uszyłam też czepeczek. I to była cała wyprawka na przyjście mojego dziecka.

W czasie podróży do Witebska była przesiadka w Orszy. Czekałyśmy na dworcu, było bardzo zimno. Był silny mróz i mnie wrocila temperatura. Pielęgniarka ułożyła mnie na ław-

ce w poczekalni. Przy samej ławce wisiały sople lodu, nie wiem z czego. Miałam tak straszne pragnienie w tej temperaturze, że odłamывała te sople i je lizałam.

Kiedy po jakimś czasie zasnęłam, w czasie snu zdążyły mnie okraść moje współtowarzyszki podróży. Zabrały mi z woreczka wszystkie suchary i cukier również, także i mydło. Ale ja się zorientowałam o tym dopiero później. Bo moje rzeczy niósł konwojent, a mnie podtrzymywano, tak byłam słaba.

Po przyjeździe do Witebska od razu położono mnie w pokoju - izolatce dla chorych. A tante dwie, ponieważ były chore, poszły do cel ogólnych. Po jakichś dwóch godzinach przyszła do mnie pielęgniarka, ażeby się ze mną pożegnać, bo ona mnie lubiła. Zapytała mnie przy okazji czy nie wiem, jak te dwie ukradły kazionne koce w Minsku, ale sprawa się wydała dopiero w Witebsku. One tego dokonały w sytuacji, gdy przeprowadzano liczne rewizje, które spadały zupełnie nieoczekiwanie. Zwykle to wiązało się z tym, że człowieka wyrywano z dotychczasowego otoczenia i przenoszono do zupełnie innego. Chodziło o to, ~~ma~~ aby zerwać wszelkie więzi międzyludzkie, żeby nie nawiązać bliższych przyjaźni. I stale człowiek musiał szukać swego kąta.

Odpowiedziałam pielęgniarce, że nie widziałam, kiedy one kradły. Ponieważ akurat miałam ochotę na jedzenie, poprosiłam ją, aby moje suchary namoczyła kipiátkom i do tego dodała troszeczkę cukru, to ja to bardzo chętnie zjem, bo już czuję się głodna. Pielęgniarka sięgnęła do woreczka i po chwili powiedziała: słuchaj, ale tu nic nie ma. Wówczas dopiero zorientowałam się, że zostałam okradziona. To było gdzieś 6-go lub 5-go stycznia. Pięć dni później dostałam



bólów. międzyczasie przyprowadzono tamte dwie do izolatki. Jedna z nich zaczęła rodzić. Ja miałam bole już wcześniej, więc sprowadzono lekarza. Ponieważ jednak u niej poród był już zaawansowany bo to nie był pierwszy poród, mnie zbadał pobieżnie i stwierdził, że to wszystko jest normalne.

W sali było zimno. Już nadchodził dzień. W pewnej chwili do mojego łóżka podeszła kryminalistka, bezceremonialnie zadarła mój koc, spojrzała i powiedziała: dziecko będzie martwe, bo widać siną główkę. Wówczas chwyciłam ją za "ciełogrejkę" na piersiach i sama się poderwałam. I wówczas nastąpił poród. I tak leżałam z dzieckiem i nieodciętą popowiną. "Skorąją pomocą" nie przyjeżdżała. Koleżanka stuknęła do drzwi i mówiła, że dziecko się rodzi. Ale nikt nie reagował, pogotowie nie przyjeżdżało. A przez cały czas ze mnie lała się krew do tego stopnia, że w pewnym momencie słyszałam, jak ciurkiem ścieka na podłogę.

Na skutek wykrwawienia zupełnie zobojętniałam, nie wszystko do mnie docierało. Wreszcie przyjechała karetka pogotowia. Lekarką okazała się bardzo energiczna Żydówka. Gdy zobaczyła mnie w tej kałuży krwi, krzyknęła: siejczas naczelnik zdies.

Kiedy przyszedł naczelnik, ona zwróciła się do niego: w jakim stanie znajduje się rodząca? Ona jest wprowadzie aresztowana, ale dziecko jest wolne. Kazała natychmiast odziać mnie jak najcieplej. Naczelnik kazał posiągać wszystkie koce, którymi nakryto mnie na ~~kanapkach~~ noszach. Szybko zawieziono mnie do szpitala.

Kiedy tam już mnie zawieziono i opatrzone, przyszała do

mnie lekarka i powiedziała, żebym złożyła skargę na naczelnika za to, że w takich warunkach zostawił rodzącą kobietę. Obiecała, że w razie potrzeby ona gotowa jest poświadczyć, w jak jakim stanie mnie zastała. Odpowiedziałam, że mi to w niczym nie pomoże. Taki to był sposób ich zachowania. W każdym razie sprawa była na tyle poważna, że sam naczelnik przynosił mnie na nosze.

W szpitalu natychmiast nałożono mi szwy. Już wieczorem miałam temperaturę ponad 39 stopni. Przyszła młoda lekarka, której mąż zaginął w masowych represjach 1937-go roku /był Polakiem, ona była Rosjanką/ i była zdziwiona, że ja mam taką temperaturę. Powiedziałam jej wówczas, że w tych warunkach nie należy temu się dziwić. Powiedziałam, że w tym brudzie nie będzie trudno nawet o zakażenie krwi. Wówczas ona krzyknęła na mnie:

- Żebyś mi takich rzeczy nie mówiła, dziecko /wyglądałam wówczas bardzo młodo/. Nie mów takich rzeczy. Czy zdajesz sobie sprawę, co znaczy zakażenie krwi?

- Tak, odpowiedziałam, zdaję sobie sprawę, uczyłam się na ten temat.

- Ale to niemożliwe.

I zaczęto szukać. Dopatrywano się m.in. malarii, bowiem miałam paroksyzmy temperatury: chwytały mnie dreszcze, a gorączka sięgała 40.7 stopni. Bywało i tak, że takie ataki powtarzały się dwukrotnie w ciągu doby. W krótkim czasie temperatura z wysokości ponad czterdziestu stopni spadała do 35-ciu z kreskami. Wykres mojej temperatury miał kształt ostrych szpiców. Jest to zresztą charakterystyczne dla gorączki popółogowej. Gdy dostawałam dreszczy, to łożko drżało

razem ze mną.

Nic więc dziwnego, że lekarze podejrzewali malarię. Po trzech tygodniach zgodzili się z moją diagnozą i przemieśli mnie na oddział septyczny. Ulokowano mnie w separacie, z której wiele kobiet, już po kilku dniach pobytu, wynoszono na wieczny spoczynek. A ja wciąż się trzymałam ku niemałemu zdziwieniu lekarzy, że nadal żyję. Zwoływali często konsylium z udziałem różnych specjalistów.

Mimo ciężkiej i długiej choroby doskonale pamiętam, jak i czym mnie leczono. Nie mogłam jedynie znieść ówczesnych kroplówek. Roztwór soli był wtlaczany za pomocą gruszki do każdego uda po pół litra. To był potworny ból, rozrywało tkanki. Jak pobity psiak prosiłam, aby mi nie dawano tej kroplówki.

Gdy do sali wchodził profesor, to zawsze pytał, czy "ta maładaja, krasiwaja Palaczka jeszcze żywiot?". Odpowiadałam, że żyję i żyć będę, bo moje dziecko nie zna ojca i ja jestem mu niezbędna. I wyżyłam.

W dwa miesiące po porodzie paroksyzmy były coraz słabsze, agresja choroby była coraz słabsza. Odmawiałam wielu zabiegów. Wówczas to zaobserwowałam, że moje dziecko jest chore, miało konwulsje. Ataki były tak straszne, że sprowadzano panią profesor pediatrę - Czernuszkową, bardzo serdeczną. Ona powiedziała, żeby dziecko zawieźć do jej kliniki, co też się stało. Córeczka była tam przez trzy tygodnie, po którym to czasie wróciła do mnie z opinią, jakoby te ataki już się nie powtarzały. Było to w okresie wielkiej nocy, która wówczas wypadła 12 i 13 kwietnia. Pamiętam nawet, że zatrudnione tam Polki przyniosły mi "święcone".



Kierowniczką kuchni była Polka, Ordynatorem oddziału septycznego była dr Anna Bobrowska, żona Polaka również zaginionego bez wieści. To one właśnie po cichu, w tajemnicy jedna przed drugą przyniosły całą wyprawkę dla dziecka. Przyniosły też troszkę odzieży dla mnie. Kierowniczka kuchni obiecała mi futerko, które będzie mi bardzo potrzebne, gdy pojedę na północ.

W kilka dni po powrocie dziecka usłyszałam przeraźliwy krzyk w dzieciennym pokoju. Wiedziałam, że to moje dziecko. Było to w porze obiadowej, ale ja nie miałam siły tam pójść. Dzwoniłam, bezskutecznie. Na czworakach doszłam i zobaczyłam dziecko w strasznym stanie. Wówczas ja przeraźliwie krzyknęłam. Wówczas zabrano mnie do pokoju i zaczęły ratować dziecko.

Poprosiłam, aby łóżeczko dziecka stało przy moim łóżku. Chodziło mi o obserwowanie dziecka, bo sama nic nie mogłam robić. Wyrażono na to zgodę. Swoje obserwacje przekazałam prof. Czernuszkowej sugerując, że dziecko ma jakieś kłopoty z głową albo z uszami. Drgawki zaczynały się bowiem od głośnego krzyku oraz dziwnego poruszania główką. Jak teraz sądzę, córka miała zapalenie opon mózgowych na tle gruźliczym. Przecież byłam w towarzystwie prątkującej. Zresztą ja później wielokrotnie miałam kłopoty z gruźlicą. Zresztą, gdy dziecko zabrano do szpitalika to mnie wielokrotnie pytano, czy ktoś w rodzinie nie chorował na gruźlicę. A w mojej rodzinie ta choroba nie była spotykana.

Pani prof. Czernuszkowa powiedziała, że jest niewielka szansa na uratowanie dziecka pod warunkiem, że do mojej kliniki przewiezie się dziecko z matką. Sama obecność matki jest b. ważna.

Pani dr Bobrowska powiedziała, że nie może jechać razem, gdyż konieczne jest zawiadomienie więzienia o zmianie jego miejsca pobytu. Obawiała się głównie tego, że gdy do więzienia dotrze ta wiadomość, to dziecko i matkę mogą zabrać do więzienia. Ponieważ jednak prof. Czernuszkowa powiedziała, że jest to jedyna szansa na uratowanie dziecka powiedziałam, żeby zadzwonić. Za dwie godziny przyjechało auto z więzienia ze strażniczką i zabrali mnie razem z dzieckiem do więzienia.

W więzieniu ja trafiłam do izolatki, a dziecko zabrano do żłobka. Przyjechali z pięknym becikiem, czystym i wyprasowanym. Na moją prośbę karmiłam dziecko w szpitalu. Teraz, gdy byłam w izolatce, przyniesiono mi dziecko do karmienia w ubabranym, strasznie zabrudzonym kocyku. Widać, że dziecko nie było przewijane. Kiedy prosiłam, żeby wzięli ode mnie czyste pieluszki, usłyszałam: nie! to może być jakieś zakażone.

Dziecko przynoszono mi tylko przez jeden dzień. Nazajutro wieczorem już dziecka nie przyniesiono. Następny dzień też nie. Na trzeci dzień przyszła pielęgniarka i powiedziała, że dziecku zrobiło się gorzej i odwieziono je z powrotem do szpitala, do prof. Czernuszkowej. Obiecała, że pokarm ode mnie będą zabierać i wozić do szpitala. I przez jakieś trzy dni pokarm zabierano, a potem powiedziano, że w szpitalu jest kobieta, która ma wiele pokarmu i lepiej będzie, jeśli ona będzie je karmić bezpośrednio. Mówiono mi ciągle o badaniach i stale pytali, czy ktoś w rodzinie nie chorował na gruźlicę.

Aż na początku maja przyszli do celi naczelnik z prokuratorem i odczytali mi wyrok: pięć lat obozów wychowaw-

czych. Był to wyrok, który nadszedł z Moskwy, wydany przez "trojkę". Kiedy zaczęłam się śmiać zapytali mnie, co jest powodem mojej wesołości" odpowiedziałam, że spodziewałam się wyższego uhonorowania. Powiedzieli, że bym nie była taka pewna, bo mogę otrzymać dodatkowy wyrok z więzienia. Powiedziałam, że to mnie nie interesuje, bo ja i tak wyjdę wcześniej.

Po dwóch dniach przyjechał konwój: sobierajties s wieszczami" powiedziałam, że po pierwsze bez dziecka nigdzie się nie ruszę, a ponadto ja nie chodzę o własnych siłach. Byli zdziwieni: o jakie dziecko chodzi? Wówczas strażnik więzienia odwołał konwojenta, który wrócił po chwili i powiedział: nie wiedzieliśmy nic o dziecku. Ale zaraz jeden z moich ludzi pojedzie po dziecko i przywiezie je na dworzec. Powiedziałam wówczas stanowczo: możecie mnie zabić, ale jeśli dziecka tu nie będzie, to ja się nie dam ruszyć. Możecie mnie zabić.

Zostawili mnie. Wówczas zaczęłam analizować zachowanie się personelu i zaczęłam bać się, że dziecku coś się stało. Bez przerwy płakałam. Po dwóch dniach, wieczorem, przyszedł naczelnik i bardzo łagodnie powiedział, że moje dziecko zmarło wczoraj wieczorem. Gdy to usłyszałam, przestałam płakać. Nie bardzo wiem, co się dalej ze mną stało.

Zaczęto mnie wyprowadzać na więzienne spacery. Powoli, czepiając się zaczęłam na nowo uczyć się chodzić. Byłam zupełnie otępiara. Kiedyś kierowniczka żłobka, przechodząc, powiedziała mi, że moje dziecko zmarło wcześniej, ale bano się powiedzieć mi o tym.

Kiedyś pewna więźniarka, która pracowała w szpitalu, po-



wiedziała mi/pytałam ją, co się stało z ciałem dziecka/:  
brośli w pieczku i wsio..I to była pielęgniarka.

Gdy ponownie przyjechał konwój, nie stawiałam oporu.  
Zawieziono mnie do Smoleńska, do więzienia przesyłowego.  
Było to na przełomie maja - czerwca 1941 roku. Trzymano  
nas w olbrzymich budynkach drewnianych. w środku były dwu-  
piętrowe prycze. Ponieważ nadal miałam kłopoty z chodzeniem  
zabrano mnie do szpitalika.

Oddział kobiecy od męskiego był oddzielony tylko dru-  
tami. Stołówka była w innym budynku. Podobnie było z ubi-  
kacją.

Pewnego dnia pielęgniarka Marusia przyniosła dwie laski  
z wyrzezbionymi rączkami. Był to prezent od jednego więź-  
nia rzeźbiarza.

Ze mną siedziała Rosjanka, która miała 78 lat. Skazano ją  
za spekulację. Do szpitalika trafiła dlatego, że upadła i  
złamała rękę. Miała do mnie pretensje, że ja dostałam dwie  
laski, a ona żadnej nie otrzymała.

Stanem moich nog zainteresował się jeden z lekarzy. Na-  
zywał się Worobjow. Nakazał mi masaż, kąpiele i słońecz-  
ne kąpiele, dlatego mnie wyprowadzano. W takiej to sytuacji  
słyszałam mowę Mołotowa w dniu 22 czerwca 1941 roku, bo  
były włączone radiotoczki.

Nazajutrz po wybuchu wojny zlikwidowano szpitalik, le-  
karz poszedł do wojska, a nas chorych cołnięto do cel ogólnych.  
Po kilku następnych dniach wycytano wszystkie poli-  
tyczne /pod wieczór/ i - sobierajties s wieszczami. Przez  
furtkę w czerwonym murze / przez moment spodziewaliśmy się  
egzekucji/ przeprowadzono nas na drugą stronę. W czasie tej

operacji rozpoczął się nalot niemiecki. A naloty niemieckie wówczas były straszne do tego stopnia, że nasz budynek więzienny od samych podmuchów chwiało się na wszystkie strony. Nas na czas nalotów zamykano, a strażnicy natychmiast rozbiegali się do schronów. Myśmy tylko przez okno mogły obserwować pożogę.

W tym czasie były zupełne ciemności; widocznie nalot uszkodził elektrownie. Nas w pewnym momencie zaczęto sprowadzać w ciemnościach do piwnicy. Ja nie mogłam korzystać z lasek. Do dziś boję się schodzenia po schodach w ciemności. Sprowadzono nas do jakiegoś pomieszczenia, w którym panował niesamowity fetor. Nie wiedziałyśmy, gdzie jesteśmy. Dopiero po jakimś czasie ktoś zapalił świeczkę i wówczas zobaczyłyśmy się w sali, na której zaschły ekstrementy. W tej celi trzymano nas chyba 5 dni. Nie dawano nam chleba /piekarnia uszkodzona/ lecz dwukrotnie w ciągu dnia ciemną bryję. Wreszcie któregoś dnia przyszła strażniczka, zrobiła rewizję /zabrała mi kołderkę/ i pognano nas do bańni. Dali nawet po kawałku mydła. I z powrotem zagnano nas do tej brudnej celi, na dwa dni.

Następnie skierowano nas do czystych cel. Rewizje przeprowadzano nawet dwa razy dziennie. Któregoś dnia wyczytano mnie z innymi /kul już nie miałam/, mnie załadowano na ciężarówkę i ruszyliśmy. Jechaliśmy przez zbombardowany Smoleńsk. Zawieziono nas do wagonów pod Smoleńskiem. Ładowano nas po 50 osób. W każdym wagonie były dwa poziomy z przejściem po środku i z otworem pełniącym rolę ubikacji. Politycznych była garstka i dlatego nasze miejsce było przy ubikacji. Starostą wagonu była straszna kryminalistka, która przechwalała się, jak gołymi rękoma mordowała ludzi.

Zresztą wszystkie te kobiety były z wysokimi wyrokami. Atmosfera była straszna. Wśród nich były tzw. "kobierałki", które otrzymały wyroki 5 lat za aborcję.

Gdy znalazłyśmy się w wagonach, zaczął się nalot. Nas zamknęto, a konwojenci pochowali się w pobliskich rowach. Jedna z więźniarek miała poronienie. Gdy przyszła pielęgniarka i powiedziała, że miałyśmy wyjątkowe szczęście, bo bomba trafiła w kobiece skrzydło więzienia i powstała tam straszna masakra.

W czasie okupacji sowieckiej, mój mąż, uprzedzony przez organizację, przeszedł granicę w pobliżu Zaręb Kościelnych i przedostał się do Warszawy. Przez całą okupację przebywał w Warszawie, bo był rodowitym Warszawianinem, tam zresztą studiował. Gdy Niemcy ruszyli na Rosję, mąż szedł za frontem do Białegostoku. Liczył na to, że może wydostanie się z białostockiego więzienia i się spotkamy. Niestety, mnie wywieziono znacznie wcześniej.

Mąż przebywając w Białymstoku szukał kogoś, kto ze mną był. Po jakimś czasie mąż otrzymał list, pisany po rosyjsku, w którym była wiadomość, że urodziłam dziecko, które zmarło i że ja jestem bardzo chora. List był podpisany moim imieniem, ale ja sobie nie przypominałam, abym taki list pisała. W czasach późniejszych, gdy na rodzinę była nagonka, list ten zniszczono. Było to w domu moich rodziców we Włocławku, dokąd mój mąż ten list przesłał.

Wreszcie w jakiś sposób dowiedział się, że jakiś pan wrócił ze Smolenska. A mój list był pisany ze Smolenska. On to powiedział mężowi, że nie powinien czekać na mnie, bo więzienie w Smolensku było bombardowane, a skrzydło kobiece



ucierpiało najbardziej. Dodał, że do uciekających więźniów strażnicy strzelali z broni maszynowej jak do kaczek. Rozmówca męża leżał przez jakiś czas pod trupami, zanim zdecydował się na ucieczkę.

Kiedy wróciłam z Rosji, ten pan już nie żył.

Pociąg, do którego nas załadowano, wreszcie ruszył. Nocą jechał bardzo powoli i tylko nocą. W dzień zatrzymywał się i stał na strasznym upale, a to był koniec czerwca lub początek lipca. Wody nam skąpiono. Chleba mieliśmy otrzymywać po 150 gramów, ale że starostą była ta straszna kobieta, polityczne otrzymywały jedynie resztki okruszków. Podobnie było z przydziałem wody.

Pociąg nasz jechał podobno przez Kaługę i Tułę, w której staliśmy dość długo. Ostatecznie zawieziono nas do Rybińska, ok. 350 km za Moskwą. Wiele z nas było skrajnie wycieńczonych. Wnoszono nas na noszach z karabinów. Więzienie miało drewniane podłogi i nie było zbyt zatłoczone. Zajechaliliśmy tam rano, ale przez cały dzień nie wzięto nas do cel, lecz trzymano na więziennym podwórzu, nie dali chleba. Tłumaczono nam, że gdyby nam dać chleba, to dostaniemy skrętu kiszek po tym wyголоdzeniu. Najpierw dano nam kaszy /bryi/, a chleb otrzymaliśmy pod wieczór w normalnej wielkości.

W Rybińsku rewizje były codziennie, raz na dwa dni i ustawiczna zmiana cel, aby nie nawiązano żadnych koleżeńskich więzi. Po jakimś czasie załadowano nas na ciężarówki. Wieziono nas przez piękną puszcę K Uglicką i zawieziono do więzienia w Ugliczu. Tu warunki były podobne do tych w Rybińsku. Ponownie załadowano na ciężarówki i z powrotem

dostarczono do Rybińska. Stąd przewieziono nas do Jarosławli nad Wołgą, do więzienia przesyłkowego. W czasie przechodzenia na dworzec konwojenci prowadzili mnie pod rękę, bo nadal nie mogłam chodzić o własnych siłach. Widziałam, jak staruszkę, która nie nadążała, poszczuto psem, który wyrwał jej z nogi kawałek ciała.

W Jarosławli warunki były koszmarnie, bo to było więzienie przesyłkowe. Jeśli dojechał niezapowiedziany transport, do kotła dolewano wody i tak karmiono więźniów.

W tym okresie - od wyjazdu z Minska - nie miałam możliwości kontaktu z Polakami. Jedynie w Witebsku spotykałam Polaków, którzy nawet po cichu przynieśli mi święcone. Czuli Polakami i podtrzymywali tradycje. Od nich to otrzymałam baze, które przywiozłam do Polski dlatego, że tymi baziami dotykałam buźki dziecka. Po jakimś czasie baze musiałam spalić, bo wdały się w nich mole. Mam jedynie rozeczkę, to moja jedyna pamiątka po dziecku.

W Jarosławli byliśmy całkowicie w zwyrodniałym towarzystwie. Pomagało mi to, że umiałam śpiewać, co dawało mi poczucie izolacji. Często w tym celu czytałam w myśli jakąś książkę. Kiedy więźniarki usłyszałam, że śpiewam, prosiły mnie, aby nauczyła się śpiewać ich piosenki więzienne. Niektóre teksty adoptowałam do własnych przeżyć. One słuchały tego ze wzruszeniem. Dzięki temu nie sprzątałam. Ale ciągle nagabywały mnie, ażebym zamieniła mój kostium, bo były zachwycone materiałem. Proponowały mi różne balowe suknie, oczywiście kradzione. Musiałam im tłumaczyć, że to jest jedyna rzecz, którą mam z Polski. Groziły mi więc, że i tak mi go zabiorą, gdy tylko wyruszymy w etap. Ale do tego nie

doszło, bo mnie wcześniej zabrano z tego więzienia.

Obok mnie leżała dziewczyna, która otrzymała paczkę. Powiedziała mi, że obawia się kradzieży i dlatego jedzenie położy pod moją głowę. Nasze miejsce było na środku pokoju, na drewnianej podłodze.

Po jakimś czasie trafiłam do szpitalika. Gdy podpisano umowę Sikorski + Majski, dowiedziałam się o niej właśnie tam. Leżałam w szpitaliku innego więzienia, tzw. "kołonii", czyli obozu pracy przy fabryce. Tu była akurat "rezinowaja" fabryka czyli że w niej wytwarzano ogumienie, w tym czasie wyłącznie na potrzeby wojska. Idąc do ubikacji spotkałam młodego człowieka, który powiedział, że i ja idę na swobodę. Byłam tym zdziwiona. On mi powiedział wówczas o tej umowie i po chwili przyniósł mi gazetę. Gdy to przeczytałam, to zemdlalam ze wzruszenia.

W tym czasie zwalniano z więzienia wszystkich skazanych z niskimi wyrokami i wysyłano prosto na front. Ja też poszłam do władz więziennych z tym kawałkiem gazety. Przyznano mi rację, ale powiedziano, że o tym zadecyduje mój macierzysty więzień. Ale on kłamał, bo w jego ręku była mojateczka personalna.

Zacząłam wówczas prosić lekarzy, żeby mnie wypisali, ale odmówili, bo jestem słaba. Ale w końcu mnie wypisali.

Ale mnie nie wypuszczano: władze ciągle twierdziły, że nie otrzymały żadnych przepisów wykonawczych. To mnie bardzo zdeprymowało.

Po jakimś czasie przyprowadzono matkę z córką. Ta pani nazywała się Adasińska, Żydówka urodzona w Warszawie. Za to, że jej babka była mieniszewiczką, posadzono trzy pokolenia.



Zdołała jedynie uprosić, aby córka była z nią, a syn z ojce. Jej babka była jakąś ważną działaczką. Siedziała w więzieniu w Orle razem m.in. z Radkiem i innymi Polakami. Miała dobre warunki: dwa pokoje i dostarczano jej prasę francuską. Podobno intelektualisci zamknięci w Orle opracowywali ważne problemy państwowe, które później publikowano pod nazwiskiem Stalina.

Ona dążyła mnie życzliwością i starała się mnie wyrwać z depresji. Ona mi powiedziała, żebym napisała do prokuratora w sprawie zwolnienia mnie z więzienia. W tej sprawie zwróciłam się do naszego politruka.

Wracam do sprawy paczki: obudziłam się w nocy z przeczuciem, że za chwilę coś się stanie. Nagle jakaś szponista ręka chwyciła mnie za twarz. Krzyknęłam głośno, strażnik natychmiast zapalił światło. Ale już worek z jedzeniem zabrano. Została tylko poszewka z poduszki, a z jedzeniem nic nie zostało mimo, że natychmiast zarządzono rewizję. Czyżby zjadły?

Byłam w depresji i głodna do tego stopnia, że zaczęłam prosić, aby wysłano nas w etap. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy z tego, co to jest etapier. O tym dowiedziałam się znacznie później. Posłuchałam jednak pani Adasińskiej i poprosiłam politruka o papier i ołówek, bo chcę pisać do prokuratora. Jeszcze tego samego dnia wezwano mnie do pokoju, w którym był naczelnik /było to w pierwszych dniach listopada/ oraz przy innym biurku jakiś człowiek. Jak się później dowiedziałam, był to prokurator. Naczelnik zapytał mnie, dokąd chcę jechać? Byłam zdziwiona: jak to dokąd? Bo wychodzi pani na wolność. Do rozmowy wtrącił się drugi pan pyta-

jąc, dokąd chcę wyjechać. Powiedział też do naczelnika, aby przed wyjazdem ubrać mnie ciepło, bo ja w tym czasie byłam w letniej sukience, którą otrzymałam od innej więźniarki za koszulkę. Zapowiedziano też, że otrzymam wyprowiantowanie. Umowiliśmy się, że wyjadę do Kirowa, bo w kołchozie nie wytrzymam.

Zarządzanie papierów trwało 5-6 dni. Znowu byłam bliska załamania; myślałam, że mnie znowu oszukano. W celi niektóre więźniarki /było ich 8/ dały mi adresy, aby z wolności zawiadomiła ich rodziny o miejscu ich pobytu. Jednej dziewczyny matka mieszkała na miejscu, w Jarosławlu. Ta dziewczyna nie miała 17-tu lat i siedziała jako polityczna. Przed wyjściem zaprowadzono mnie do magazynu, gdzie otrzymałam ubranie, oczywiście zbyt duże. Walonek na mnie nie znalazł. Otrzymałam coś do jedzenia oraz jakąś ilość rubli. Wreszcie wyszłam za bramę, ale wówczas, gdy już było zupełnie ciemno.

W mieście obowiązywało zaciemnienie. Czułam się niepewnie na nogach. Było to chyba siódmego listopada. Od Wołgi wiał silny wiatr. Po ciemku, po grudach sniegu szłam i padałam często. Czułam się na wolności. Dotarłam do przystanku tramwajowego, którym to tramwajem miałam dojechać do matki dziewczyny. Gdy weszłam do tramwaju, ruska "babuszka" zainteresowała się mną. Zapytała mnie, czy jestem z więzienia. Gdy potwierdziłam i że jadę na dworzec /miałam prikaz opuścić miasto w ciągu 24 godzin/, powiedziała, że ona za 10 godzin kończy pracę i jeśli chcę, to na tym miejscu mogę na nią czekać, ona mi pomoże. Zaufałam jej, że muszę jeszcze zająć do domu mojej koleżanki z więzienia.

Kiedy dotarłam do matki mojej koleżanki, ta z radości nie wiedziała, gdzie ma mnie posadzić i czym nakarmić. Tam zostałam przez jakiś czas. Obiecała mi dowiedzieć się, kiedy będzie pociąg do Kirowa, bo na dworcu czekać niebezpiecznie. Musiała milicjantowi dać łapówkę, aby mogła mnie zatrzymać. Sama pracowała w fabryce chleba dla prominentów. Miała więc chleb kradziony, który wynosiła na brzuchu. Na drogę dała mi cały worek suszonego chleba. Do tego dała kartofle oraz ciepłą bieliznę, chustkę i t.p.

Wreszcie okazało się, że ma być pociąg. Zaprowadziła mnie na dworzec, na którym było piekło. Zupełnie nieoczekiwanie spotkałam mężczyznę, który pracował w więzieniu jako rzemieślnik i mnie zapamiętał. On mi pomógł dostać się do pociągu. Wówczas też rozstałam się z matką koleżanki, której nazwiska już nie pamiętam.

Mimo straszliwego tłoku dostałam się do wagonu, a następnie do przedziału, gdzie usadowiono mnie na gromadzie bagażu. W tym samym przedziale jechało dwóch oficerów. Jeden z nich chciał poczęstować mnie czekoladką. Mimo że się wzbraniałam, wmusił we mnie. Kiedy zaczęli przygotowywać śniadanie okazało się, że mają pieczone mięso i jakiś pieczony schab, masło. Poprosili mnie, abym zrobiła kanapki. To wszystko bardzo ładnie pachniało, ale jadłam bardzo ostrożnie.

Przez całą noc ujechalismy 60 km i dostalismy się do stacji Buj. Tu wysiadał ten pan, który mi pomógł wejść do pociągu. Zostawił mi swój adres na wypadek, gdybym nie dostała się do pociągu.

Oficerowie jechali, jak powiedzieli, do stacji Kotłas.



Jeden z nich miał tam objąć stanowisko dyrektora fabryki, a drugi komisarza fabrycznego. Mieli prawo jechać każdym pociągiem. Wyrazili gotowość dopomożenia mi. Zaufałam im. Na stacji był też niesamowity tłok. Uprzedziłam ich, że jestem niedawnym więźniem. Wówczas jeden z nich powiedział: proszę pani, a kto u nas nie siedział? Ten oficer nazywał się Władimir Efimowicz Mizerskij. Kozak. Zapamiętałam, bo później mi się oświadczył.

Na dworcu weszliśmy do oddzielnej sali, sali dla wybranych. Roztasowaliśmy się w jakimś kącie, bo już i tu nie było miejsc siedzących. Tu oni zostawili wszystkie swoje rzeczy pod moją opieką i poszli zorientować się, jak będzie z dalszym połączeniem. Wrócili i powiedzieli, że bym zajęła się kolacją, bo w najbliższych godzinach nie przewidują żadnego pociągu.

Gdy oficerowie wyszli zasięgnąć informacji o pociągu, zaobserwowałam w sali grupę ludzi, którzy zachowywali się zupełnie inaczej niż otoczenie. Mieli coś w sobie z Zachodu. Jeden z nich był ubrany w pelerynę aż do samej ziemi, a do tego miał futrzaną czapę. Grupę tworzyło chyba ośmiu panów, a wśród nich był jakiś wysoki oficer marynarki. Kiedy zaczęłam szykować kolację, po sali zaczął chodzić kolejarz i tylko niektórym coś szeptał. Wreszcie podszedł do majora i powiedział, że na torach już stoi pociąg w kierunku Kirowa. Na sali powstał ruch, a następnie zaczął się wyścig po ciemku do pociągu.

Wagony były olbrzymie z przejściem i "kozą" na środku i pryczami. Górne półki były już zajęte. Zajęliśmy miejsca na dole. W pobliżu zajęła miejsca grupa tych, którzy zwróci-

li moją uwagę na poczekalni.

Pociąg ruszył i zaczęła się ślamazarna jazda. Na postojach myśliśmy się w śniegu. To była podstawowa higiena. Jednocześnie zauważyłam, że jestem obserwowana przez tych "innych", którzy zagadywali nawet moich towarzyszy podróży.

Pewnego dnia zaczęła się szykować jakaś zabawa w wagonie. Były to urodziny jednego z jadących w tej grupie. Natychmiast znalazła się harmonia. W pobliżu jechały też pannie lekkich obyczajów. Doszło do tańców. Ja schowałam się w najodleglejszym kącie. Kiedy usiłowałam wyjść podczas postoju, jeden z tańczących poprosił mnie do tańca. Odmówiłam. Wówczas on - już podpity - zaczął się awanturować. Kiedy wróciłam usłyszałam, jak namawiają moich współtowarzyszy, aby mnie zaprosić. Ale Mizerski powiedział, że ja z nimi pić nie będę.

Mizerski przy innej okazji opowiadał mi, jakie straszne walki się toczyły: żołnierze nie mieli naboju, dano im karabiny na sznurkach, a samych żołnierzy traktowano jako mięso armatnie. Jeśli któryś zatrzymał się czy się cofnął - otrzymywał kulę z tyłu.

W dalszej części podróży, która się przeciągała, oficerowie zaczęli się naradzać, jak podróż skrócić. Postanowili wysiąść na jakiejś większej stacji i poszukać jakiegoś samochodu, jakiejś sanitarki czy coś takiego. Zapytali mnie, na co się decyduję. Postanowiłam jechać z nimi.

Na jakiejś stacji wysiedliśmy. Przy okazji dowiedziałam się, że sąsiadująca z nami grupa dowiedziała się o moich losach więziennych. Na stacji, na której wysiedliśmy, oni znowu zostawili swoje rzeczy pod moją opieką i poszli do

wojenkomatu, aby rozejrzeć się w sytuacji. W tym momencie podszedł do mnie jeden z tych panów i przedstawił się jako Michaił Naumienow. Wcześniej już wiedziałam, że ta grupa jest ekspedycją naukową Leningradzkiej Akademii SRR, która jedzie na wschód na badanie jakichś złóż. Ponieważ ich rodziny już wcześniej zostały ewakuowane do Kazania, oni zamierzają wstąpić do tego miasta i odwiedzić najbliższych.

Naumienow powiedział, że wie, jaki mnie los spotkał i że on wstydzi się za swój naród. Aby w jakimś stopniu wynagrodzić mi doznane krzywdy, zaproponował mi trzysta rubli, których ja oczywiście przyjąć nie chciałam. On nalegał i prosił o śpiech tak, aby moi towarzysze tego nie wiedzieli. Zresztą podszedł do mnie z czajnikiem, że niby przychodzi po kapiatki. Użył takiego argumentu: wiem, co pa/ni przeżyła i gdyby moja żona znalazła się w takiej sytuacji i gdyby ktoś podszedł do niej z tak czystym sercem, to bym był zadowolony; dla mnie ta kwota nie stanowi nic wielkiego, a pa/ni może za nie w swojej trudnej sytuacji uratować swoją cześć, uchronić od fałszywego kroku.

Przy tej okazji dał mi adres swojej rodziny, gdybym potrzebowała pomocy, to mogę liczyć na pomoc. Wzięłam te pieniądze. Pocałował mnie w rękę, nabrał kapiatku i odszedł do swoich.

Po jakimś czasie wrócili moi towarzysze i ze smutkiem stwierdzili, że nie ma żadnych szans na dalszą jazdę i że musimy wrócić do pociągu. Kiedy tam doszliśmy, grupa ekspedycyjna urządziła nam huczne powitanie. Dalej już jechałam jak królowa. Okazano mi wiele serca.



22-go listopada / akurat na moje imieniny/ pociąg akurat się zatrzymał. W przeddzień byłam wyjątkowo markotna. Powiedziałam wówczas prof. Naumienowowi, że zbliżają się moje urodziny, a ja nic nie wiem o swojej rodzinie. Nazajutrz, gdy pociąg zatrzymał, wszyscy panowie gdzieś wyszli, a z nimi oczywiście Leonid Michajłowicz Naumienow. Drugo ich nie było. Zaczęłam się niepokoić. Wreszcie wrócili: wszyscy ogoleni, wymyci i ręce mieli wymanikirowane. Miał to być wyraz uznania dla moich wysiłków zmierzających do zachowania higieny. W prezencie otrzymałam książkę o malarstwie staroruskim z piękną dedykacją "Pani Lalce", bo tak mnie nazywali. Załowali, że kwiatów nigdzie nie mogli dostać i dla tego poszli do fryzjera.

Cały czas opiekowali się mną. Otrzymałam od nich mydło i inne środki do zachowania higieny.

Tak dojechalismy do jakiejś stacji przed Kirowem, w której była przesiadka do Kazania. Namawiali mnie, żebym z nimi jechała. Kiedy dotarłam do Kirowa, spotkałam misję wojskową polską. Jeden kąt na dworcu był zajęty przez kandydatów na żołnierzy. Natychmiast wciągnięto mnie na listę jako pielęgniarkę. Mizerski błagał mnie, żebym jechała z nim dalej i została jego żoną, ale mu tłumaczyłam, że przecież jestem mężatką. Podarował mi swoje zdjęcie oraz pajok, który pobrał na stacji.

W Kirowie byłam jeszcze chyba ze dwie doby aż podstawiono pociąg, który miał jechać do Jangiżulu. Wtedy pierwszy raz zetknęłam się ze zdarzeniem, które potwierdzało tezę, że nie wszyscy Polacy są szlachetni. Otoż do punktu zgłosił się por. Wieczorek, wymizerowany nędzarz. Powiedziano mu, że otrzyma przydział za dwa lub trzy dni. Wieczorem zapropono-

wano mi dodatkową porcję, za którą podziękowałam. Dla mnie było to straszne zaskoczenie tym bardziej, że zdenerwowany kwatermistrz powiedział: nie chce pani, to nie; jak pani sobie pościele tak się wyspi. Dopiero później zreflektowałam się, że powinnam wziąć dodatkową porcję i oddać temu głodnemu biedakowi. Już nie pamiętam, jak się nazywał ten niuczciwy komendant; zapamiętałam jedynie, że miał ładne, polskie nazwisko i że pochodził z Kołomyi i był porucznikiem rezerwy. „prawdnie chodzi mi po głowie to nazwisko, ale nie jestem pewna.

Rozpoczęliśmy podróż. Otrzymywaliśmy suchy prowiant, a na niektórych stacjach gorącą strawę. Jedzenie było przyzwoite. Gdzieś pod Czkałowem złapała nas straszna burza. W tym czasie jeden z młodych ludzi dostał bardzo wysokiej temperatury i miał wszelkie objawy zapalenia płuc. Nie miałam żadnych lekarstw. Ruszyłam<sup>no</sup> do dworzec po jakąś pomoc. Z najwyższym trudem odnalazłam polską lekarkę, której przekazałam chorego. Od niej otrzymałam trochę leków i narzędzi lekarskich.

Tego samego dnia sama zachorowałam, miałam wysoką temperaturę. Jak się później domysliłam, miałam gruźlicę przydatków kobiecych i jelit. Któregoś dnia ten chłopak, któremu uratowałam życie, uratował mnie: wyciągnął mnie spod ruszającego pociągu i wrzucił do wagonu. Sam przy tym o mało nie został na stepie. Nie pamiętam jego nazwiska, ale zapamiętałam piosenkę, której mnie nauczył:

- Używaj pókiś młody
- dopókiś jeszcze chwat
- nie pijaj zimnej wody
- a będziesz żył sto lat.

Tak dojechaliśmy do Taszkientu. Tam, a właściwie jeszcze wcześniej nasz komendant zebrał nasze dokumenty i poszedł do punktu pobrać nasze wyżywienie. Miał też pobrać żołąd. Jeszcze wcześniej, nocą, zauważyłam, że ona ma cały worek pieniędzy co świadczy o tym, że nam wszystkiego nie wypłacał. Komendant działał tu razem w z kwatermistrzem. Gdy teraz poszli po nasze zapotrzebowanie, to już nie wrócili. I tak zostaliśmy nie jako wojskowi lecz jako cywile, a jedynym naszym dokumentem były zaświadczenia, które otrzymaliśmy wychodząc z więzienia.

Na następnej stacji jakiś podoficer zawodowy poszedł z naszymi dokumentami do punktu ewakuacyjnego, żeby dostać chociaż chleb, bo ludzie już puchli. I ci również nie wrócili. Nie wiem, czy zrobili to rozmyślnie. Wiadomo, że na takie zawiadomienia można było otrzymywać chleb, który w tamtych warunkach był dosłownie na wagę złota, gdyż decydował o życiu i śmierci. Później nam mówiono, że komendant zrobił to wszystko rozmyślnie, gdyż dowiedział się, że gdzieś w pobliżu Taszkientu przebywa jego żona.

Dalszą podróż odbywaliśmy jako "bezprizorni", bez dokumentów. Chyba 5 osób zmarło z głodu. Aż zainteresowało się nimi NKWD i dzięki tej interwencji dojechaliśmy do Papu /Papskij rejon/. Tu kazano nam wysiąść. Ja nadal miałam skoki temperatury. Zdrowych natomiast skierowano do wojenkomatu, zarejestrowano, a następnie rozlokowano po chałupach miejscowej ludności - tzw. kiszłakach czyli wioskach uzbeckich. Chorzy mieli czekać na karetkę pogotowia - wśród nich i ja.

W pewnym momencie straciłam przytomność, a gdy się obudziłam to stwierdziłam, że nie mam butów na nogach - okra-



dziono mnie zupełnie.

Oczekając na pogotowie - całą dobę - korzystałam z opieki Uzbeka, który zajmował się mną zupełnie bezinteresownie. Wreszcie przyjechało pogotowie: wysoka arba na dwóch kołach, ale ciągniona przez konia. Znalazłam się w szpitalu. Tu zauważono moje zainteresowanie i znajomość terminów medycznych. Lekarze myśleli w pierwszej chwili, że jestem lekarzem czy felczerem. Powiedziałam, że jestem siostrą PCK. Nawet brak dokumentów nie stał na przeszkodzie, żebym została siostrą w szpitalu.

Po jakimś czasie wybuchła straszna epidemia tyfusu plamistego. Do szpitala przywożono ludzi całymi gromadami. Mimo mojej choroby musiałam pracować. Otrzymałam miejsce w szpitalu: posłanie, ubranie i obuwie. Było już zimno, bo my w papskim rejonie znaleźliśmy się 19 grudnia 1941 roku. Tam też przeżyłam autentyczne trzęsienie ziemi.

W szpitalu były bardzo trudne warunki. Zestawiano obok siebie dwa łóżka szpitalne, a na nich kładziono trzech chorych, układając ich w poprzek. Aby zrobić zastrzyk czy postawić bańki, trzeba było wchodzić między chorych. Nie było światła elektrycznego, funkcjonowały jedynie "kopciłki". W takich to warunkach jedna pielęgniarka doglądała ok. 120 chorych.

Po jakimś czasie do szpitala trafili prawie wszyscy ci, którzy razem ze mną jechali tym samym transportem. Niektórzy z nich dostawali w temperaturze udarów: tracili przytomność. Jeden z nich, gdy schyliłam się nad nim, aby mu wyjąć termometr - rzucił mnie na łóżko i zaczął krzyczeć bez żadnego związku "Bóg i pani Jakubowska". Na szczęście inni

chorzy byli na tyle silni, że mnie uwolnili z jego rąk.

Do szpitala trafili też ranni podczas trzęsienia ziemi. Ofiary śmiertelne były tylko trzy.

Podczas mojego dyżuru /było to w marcu/ zadzwoniła do mnie lekarka i powiedziała, że bym natychmiast zostawiła swoje zajęcia, przekazała natychmiast chorych i szła do "sielsowietu", bo tam przyjechał polski delegat, rejestruje wszystkich, daje im zapomogi, powinnam tam iść natychmiast. Tak też zrobiłam.

Delegat nazywał się Leon Kac, adwokat z zawodu. Spisał moje dane. Pisał też dane na temat stanu rodziny, kto był wywieziony, kto zmarł i t.d. Te spisy, jak sądzę, muszą być w Londynie, bo jemu udało się wyjechać w czasie pogorszenia się stosunków z władzami ZSRR. Prawdzie on też siedział w więzieniu za odmowę przyjęcia obywatelstwa radzieckiego, ale jego żona wykupiła za łapówkę. Po powrocie spotkałam w Warszawie jego żonę.

Opowiadał mi, że rejestrował straszne rzeczy: z rodzin dziewięcioosobowych często zostawało dwoje dzieci. Inni wymierali. Był też w szpitalu i rejestrował wszystkich Polaków. Pan Kac był delegatem na rejon Czust. W mieście Czust miał swój magazyn, biuro i jeździł po okolicy, szukał Polaków. Dał mi 80 rubli zapomogi na pomoc lekarską.

Pojechałam na konsultację do lekarza do Namanganu. Tam, w poliklinice, zainteresowano się w moim przypadku w sensie medycznym. Przy okazji lekarz ginekolog zbadała mnie i wydała zaświadczenie, że żadnych zmian ginekologicznych nie stwierdza. Po konsultacjach stwierdzono, że muszę położyć się do szpitala. Ponieważ nigdzie nie było miejsc, posta-

nowiłam pojsć do wojewódzkiej delegatury polskiej w Namanganie. Chciałam za ich pośrednictwem zawiadomić mecenasa Kaca o ~~z~~istniałej sytuacji, że nie wracam z Namanganu, że nie mogę teraz wrócić do papskiego rejonu.

W tym czasie do delegatury przyszedł dr Mecis, zapoznał się z moimi przejściami, a że był ordynatorem oddziału diagnostycznego zapewnił, że nazajutrz zorganizuje mi jakieś miejsce. Natomiast najbliższą noc spędziłam u jego pacjentki, której on uratował syna.

Następnego dnia znalazłam się w szpitalu, gdzie przebywałam ok. trzech tygodni. W tym czasie pielęgniarka robiła mi zastrzyk. Mówiłam jej, że robi źle, że jest poza żyłą, ale ona tego nie słuchała. W rezultacie już wieczorem miałam ponad 40 stopni temperatury oraz okropny ból. Do dziś mam po tym bliznę, a przez najbliższe pół roku nie mogłam zginać ręki w łokciu. Dr Mecis zdegradował tę pielęgniarkę oraz usunął ją ze swojego oddziału.

Ponieważ nadal temperatura mi "skakała", dr Mecis powiedział, że nie ma zaufania do diagnozy lekarki - ginekolog, która była Uzbeczką i postanowił poprosić o konsultację dr Ciner, docent z Charkowa. Ona mnie zbadała i kazała natychmiast przenieść mnie na oddział do niej. Stwierdziła bowiem zapalenie otrzewnej okołomaciczej.

Tam leżałam ok. trzech miesięcy. Było coraz lepiej. Ponieważ dr Mecis chciał zorganizować dokarmianie Polakom, poprosił mnie, żebym się tym zajęła, leżąc w szpitalu. Otrzymywałam też mleko w proszku, margarynę, bo jedzenie szpitalne było bardzo skromne.

Organizując dokarmianie sporządziłam listy chorych. Pow-



stał też - dzięki staraniom dr-a Mecisa, oddział ozdrowieńców zwłaszcza spośród tych, którzy przeszli tyfus. Wypisywani ze szpitala nie mieli dokąd pójść, bo to byli ludzie bezdomni. W stanie wycieńczenia umieraliby pod płotem. Utworzono - na uboczu - oddział ozdrowieńców. Ja tam byłam zatrudniona jako pielęgniarka.

Niezbyt to się podobało władzom sowieckim, które widziały różnicę pomiędzy "dobrobytem" sowieckim a dostawami z zachodu dla naszych nędzarzy. Z tego powodu dom rekonwalescenta przetrwał niedługo, bo za bardzo "kiuł" w oczy.

W tym czasie zorganizował się polski dom dziecka. Mój pobyt w szpitalu nie był już możliwy po likwidacji oddziału rekonwalescentów. Poszłam więc do pracy do domu dziecka. Każdy z nas tam pracujących był nauczycielem. Zupełnie świadomie przekazywaliśmy dzieciom wiadomości z literatury, historii czy geografii, bo dzieci starsze chodziły do szkoły rosyjskiej i otrzymywały wiadomości niezgodne z prawdą. To również było tajne nauczanie.

Był to rok 1942. Wówczas przeżyłam Boże Narodzenie we wspólnocie z dziećmi, wśród których miałam dużo przyjaciół. Pamiętam niewiele nazwisk, chociaż mam odpowiednie fotografie. Gdy nasz magazyn był pełen konserw mlecznych, mięsnych i rybnych, dużo koców wojskowych, z których wynajęty krawiec poszył dzieciom ubranka - dzieci szybko nabrały rumieńców i pozbyły się ziemistej cery. Cieszyła się malaria i inne choroby pochodne głodu.

Nie trwało to długo, bo już na początku 1943 r. zaczęliśmy odczuwać zmianę nastawienia władz sowieckich do nas i to zmianę na gorsze. Nie wiedzieliśmy co się dzieje, ale

wyczuwaliśmy to jakoś podskórnie. Dopiero po jakimś czasie rozeszła się sprawa Katynia. Podobna nastrojów była wówczas, gdy Anders wychodził do Iranu, gdy W. Wasilewska próbowała tworzyć szanse na wyprowadzenie Polaków z ZSRR. Żyliśmy w ciągłym niepokoju: czy nie zapukają i nie zaproszą na "dapros".

Kiedy sprawę katyńską podano oficjalnie do wiadomości, pewnego dnia nasz sierociniec otoczyła milicja. Najpierw zaplombowano magazyny oraz postawiono strażnika po obu stronach budynku. Mogliśmy wprawdzie wychodzić, ale już byliśmy pod stałym nadzorem. Dyrektorką była p. Dakowska, z synem Mirosławem i służącą. Była żoną nadleśniczego z Białowieży. W świetlicy wisiał krzyż i orzeł.

Stosunek pracowników do dzieci był bardzo serdeczny. Zapamiętałam niektórych: Helena Michnik z dwoma synami, jeden z nich miał na imię Adam /oczywiście nie ten, o którym wszystkim wiadomo/, Pola Szlamowicz, jej mąż zmarł w szpitalu na moich rękach, Była z córką Elżunią, która wówczas miała trzy latka, Alicja Urban, żona leśniczego z Białowieży, Ala /nie pamiętam nazwiska/, panienska wywieziona z sierocińcem gdzieś z kresów, zginęła pod Lenino. Dozorcą był pan Elsner.

W naszym sierocińcu nie było różnicy między dziećmi polskimi, żydowskimi, katolickimi czy prawosławnymi. Dzieci chrześcijańskie odmawiały "kiedy ranne..." a dzieci żydowskie piękną modlitwę po hebrajsku, której motto sprowadzało się do stwierdzenia: kochaj bliźniego jak siebie samego". Opiekujący się starszymi chłopcami p. Anhalt nauczył mnie tej pieśni. /tu śpiew/.

Pan Anhalt odmówił przyjęcia obywatelstwa polski radzieckiego i do czasu naszego wyjazdu do Polski nie wrócił. Nie odezwał się do żony, która była kierowniczką apteki w szpitalu.

Był też z nami Tadeusz Honiksztok, kucharz, człowiek wielkiej mądrości, pochodzi z Łodzi. Studiował chemię, a w Polsce zostawił żonę i córkę. Jak się później okazało, obie zginęły w Sobiborze. Pisał do mnie po wojnie piękne listy z Izraela, przepełnione polskością. Wyjechała też Pola Szlamowicz po tem, gdy jej córka wręciła ze szkoły i zapytała: mama, co to jest parszywa Żydówka, a takie sceny się powtarzały. Zdecydowała się na wyjazd.

Był jeszcze jeden pan, muzykolog również. Była też p. Nan-ka z córeczką.

Do naszego sierocińca trzykrotnie włamywał się kałmycki złodziejasek. Koniecznie chciał zostać w sierocińcu. To było niedopuszczalne. A włamywał się fachowo, kradł co się dało. Uciekł z jakiegoś domu poprawczego. Ujęty przez nas został przekazany milicji.

W kilka dni po tym, jak nas otoczyła milicja, zwolniono nas wszystkich. Przyszła też nowa dyrektorka, nazywała się Liwartowska. Ale dzieci pokazały klasę: nie tolerowały rosyjskiego personelu i zaczęto nas ponownie przyjmować do pracy. Ale w okresie bezrobocia było nam bardzo trudno, chociaż ja szybko dostałam pracę w szpitalu wojewódzkim, bo w owym czasie pielęgniarki były na wagę złota. Swoimi przydziałami dzieliłam się z innymi. Podobnie postępowali inni. Kiedy jednak powstała możliwość powrotu do sierocińca, wróciłam, ale nie rzuciłam pracy w szpitalu: pracowałam na dwa



etaty. Nie miałam ani chwili wolnego.

W maju 1943 r. dostałam powołanie do wojska. Poszłam na komisję. Ponieważ moi przyjaciele, pp. Zabnerowie oraz taki Staś Kirkiel namawiali, żebym nie szła do wojska, bo mam za słabe zdrowie /corocznie miesiąc spędzałam w szpitalu na podtrzymaniu przeciwegruźliczym/.

W 1943 r. dr Mecis poszedł do wojska. Wcześniej był skierowany do Karagandy, gdzie przebywał w strasznych warunkach. Był przymus pracy. Zresztą wszyscy zatrudnieni mieli obowiązek pracować w ramach "subotników" przy zbiorach bawełny w kołchozie. Ja miałam od tego zwolnienie lekarskie. Jednak z ciekawości raz pojechałam i zobaczyłam na własne oczy, jak pracują stachanowcy. Twierdzenie, że oni zbierają tak wiele w czasie doby był zwykłym oszustwem. Od wagi trzeba było bawełnę zanieść do punktu wysypywania. Oczywiście wysypywano jedynie część, resztę niieszczono na pole i po jakimś czasie ta sama bawełna była ważona ponownie i znowu sytuacja się powtarzała. Wkładano też kamienie do środka. Pracowałam bardzo uczciwie, ale nie zebrałam nawet jednej czwartej części tego, co one zebrały.

W owym czasie w Uzbekistanie panował straszliwy głód. Codziennie rano, idąc do pracy spotykała kilka trupów. Miałam z tym nagminnie doczynienia. Pracowałam w szpitalu na oddziale diagnostycznym, gdy tymczasem w praktyce był to oddział obrzęków głodowych i od tego chorób pochodnych. Był to oddział bardzo ciężki, bo beznadziejny. Aby tych ludzi można było skutecznie leczyć, trzeba było ich karmić. Należało zaczynać od karmienia wodą z mlekiem, a nie mlekiem z wodą, aby stopniowo przyzwyczajać wycieńczone organizmy.

Szpital dostawał także racje głodowe, a mimo tego ludzie starali się tu dostać, bo to była ich ostatnia nadzieja.

Tu należy podkreślić, że w tych ciężkich warunkach kobiety były bardziej odporne psychicznie niż mężczyźni. Mówię to na podstawie obserwacji szpitalnych. Inną sprawą był strach przed głodem. Ludzie, którzy zachowywali się bardzo kulturalnie, mieli ukończone po dwa fakultety, w chwili, gdy dochodziło do wypisywania ze szpitala, gotowi byli do najgorszych poniżeń, aby tylko w szpitalu zostać. To było poniżenie człowieczeństwa.

Natomiast kobiety, nawet w takich strasznych sytuacjach zachowywały się w sposób bardziej godny. Tam zimy były zazwyczaj łagodne i krótkie. Ale podczas naszego tam pobytu temperatura spadła do granicy tam niespotykanej: minus 18 stopni. Miejscowi Uzbegy uważali z całą powagą, że to my ewakuowani jesteśmy tego przyczyną i mieli do nas o to rzeczywiste pretensje. Oni przecież nie znali sniegu, który wówczas padał i to przy tak niskiej temperaturze.

W tych warunkach kobiety nacierały się zimną wodą, aby zachować chociaż pozory higieny, a to jednak pobudzało krążenie i dawało poczucie świeżości, co w tamtych warunkach było bardzo ważne.

Mieliśmy wyjątkowe trudności z pewnym panem /mniejsza o nazwisko/, z wykształcenia muzyk. Gdy przyszły te straszne czasy głodu w sierocińcu / zima z 1943-1944/, to on, wychowawca starszych chłopców, dawał zły przykład. Nie wstawał o wyznaczonej porze, bo było zimno. Wszyscy kładli się spać w ubraniach. Oczywiście zaczęła się wszawica. On w tych

warunkach potrafił pluć, a nawet siusiać za łóżko. Mimo rozmów to nie odnosiło skutku. Wreszcie jedna z pań zaopiekowała się nim, zabrała go do swojej kibitki. Po miesiącu to był inny człowiek. Ten choćby przykład jest dowodem na to, co kobiety mogą zrobić z mężczyzną. Ogólnie mężczyźni częściej się załamywali. Są fizycznie silniejsi, ale psychicznie raczej nie.

W 1943 r. powołanie do wojska dostał dr Mecis. Wyjechał do Sielc. Również i ja dostałam powołanie na komisję wojskową. Przedstawiłam zaświadczenie od dr Diner. Byłam jedyną osobą, którą komisja wojskowa zwolniła ze służby wojskowej. Później bardzo gorzko tego żałowałam. Moi koledzy mnie tak tłumaczyli: zostałam uwięziona, zaginęło ci dziecko, nawet nie wiesz-czy żyje. I ty po takich przejściach masz przedstawiać głowę? Dla nich? To nie tędy prowadzi droga do Polski, zwłaszcza przy twoim stanie zdrowia.

Swojego kroku, żeby uniknąć służby wojskowej żałowałam już na początku 1944 r., chyba w marcu. Wówczas to, gdy bolszewicy zbliżali się do granic przedwojennych Polski, napisałam kartę pocztową po rosyjsku. Nie stwierdzałam, że taka to a taka żyje, że dziecko najprawdopodobniej zmarło w więzieniu i kto by znał losy Stefana Jakubowskiego /mój mąż/, proszony jest o przekazanie mu tych wiadomości. Podałam swój adres, że mieszkam w Azji Środkowej, w mieście Namangan. Tę kartkę zaadresowałam na adres pp. Sztachelskich w Białymstoku, bo tak się umówiliśmy z mężem, gdyby nas aresztowano oddzielnie, to kontakt będziemy nawiązywać przez pp. Sztachelskich.

Tę kartkę wysłałam jakoś na początku marca, jakoś wios-



na. Mąż otrzymał ją siódmego września 1944 r. Jeszcze tego samego dnia wysłał odpowiedź, której nigdy nie otrzymałam. Moja krtka doszła prawdopodobnie dlatego /na to liczyłam/ że w tym frontowym rozgardiaszu cywilna korespondencja przejdzie. Wiedziałam, że po dłuższym przejściu frontu będą z tym trudności.

Mąż napisał do mnie list na drugi dzień, który otrzymałam 29 października i mam go do dziś. Ale korespondencja z mężem się urwała. Wówczas dr Mecis zaproponował, abym pisała na jego adres /był w wojsku/, na pocztę polową, a on przeadresowywał na adres mojego męża. Cała nasza korespondencja przechodziła przez ręce dr Mecisa. Ale i wówczas nie wszystkie listy dochodziły, ale sporo ich otrzymałam. To mi ułatwiało życie.

Mimo, że mąż przysłał mi poświadczenie obywatelstwa polskiego, w styczniu 1945 nadesłał specjalny, indywidualny wyzyw, aby mnie sprowadzić do Polski, to jednak władze radzieckie nie honorowały moich dokumentów i moich starań. W pewnym okresie była już taka sytuacja, że można było kupić - oczywiście nielegalnie - przepustkę. Swego czasu mąż przysłał mi pocztą tysiąc rubli. Doszły do mnie one w wyjątkowych okolicznościach. Akurat wróciłam z pracy z sierocińca. Mieszkałam wówczas u swojej przyjaciółki. To było latem. Ona akurat spodziewała się dziecka i ja mieszkałam u niej, żeby się nią opiekować. Nazywała się Zinaida Michajłowna Łoszczonowa. Jej mąż przebywał w delegacji w Moskwie. Gdy wróciłam, ona była niespokojna: już ktoś był i pytał o mnie. Był to jakiś łapserdak, wypytywał o mnie: skąd jestem, co tu robię i t.d. Powiedział wychodząc, że jeszcze przyjdzie.

Postanowiłam i jednak porozmawiać, bo nie wiadomo o co chodzi. Gorzej jest żyć w niepewności niż wówczas gdy wiadomo, co go czeka. I rzeczywiście, po jakimś czasie moja gospodyni zauważyła go przez okno i zapytała, czy go nie znam. Nie znałam. Po chwili wszedł do mieszkania i zaczął wypytywać mnie o moje życie prywatne, kogo mam w Polsce. Powiedziałam, że mam tam całą rodzinę: rodziców i męża. Wówczas zapytał, jak nazywa się mąż. Gdy powiedziałam, wówczas on stwierdził, że mąż przysłał mi pieniądze.

Ogromny kamień spadł mi z serca. A przybysz mówił z ogromnym zdumieniem, że przesyłka opiewa na tysiąc rubli. Następnie zaczął mi je wypłacać. Podarowałam mu 50 rubli. On na prawdę, jak ma mi za to dziękować i jak ma mi się kłaniać. Przedstawił mi się: ja naczelnik poczty. A wyglądał na zwykłego oberwańca.

Gdy dowiedziałam się, że jednak niektórzy Polacy wyjeżdżają, oczywiście na podstawie kupowanych zaświadczeń. Mając tysiąc rubli postanowiłam dopracować dalsze pieniądze, zebrać cztery tysiące /tyle kosztowało zaświadczenie/. Zaczęłam przyjmować nocne dyżury przy ciężko chorych. Byli to przeważnie chorzy na tyfus brzuszny.

Dodatkowo brałam suknie do wykończania, które to prace wykonywałam właśnie podczas nocnych dyżurów, nie spałam ani chwili. Oczywiście to nie mogło naruszać interesu chorych. Pracę tę otrzymywałam od znajomej krawcowej, która te suknie szyla, a mnie dawała do wykończenia, bo to była ręczna robota. Krawcowa brała za uszycie sukni średnio od 800 do 1200 rubli, a ja dostawałam 10% ceny. W czasie dyżuru zarabiałam na tym więcej niż na dyżurze.

Sytuacja materialna była nadal bardzo ciężka. Dodatkowo musieliśmy podpisać/tzw. "woiński zajom" czyli pożyczkę wojenną, pożyczkę na związki zawodowe tak, że miesięcznie otrzymywałam 220-240 rubli. Na rynku można było za to kupić trzy deko masła. Poza rynkiem masła nie widziano. Były oczywiście specjalne sklepy, w których można było realizować kartki. Jedna z moich przyjaciółek miała taką kartkę, ale też nie najwyższej klasy. W takich sklepach można było kupić mięso, rybę wędzoną, cukier, mąkę, kaszę. Ale tu trzeba było być dygnitarzem na poziomie kierownika wydziału na szczeblu wojewódzkim.

Nadal marzyłam i dążyłam do kupienia przepustki. Kosztować to miało cztery tysiące rubli. Pracowałam bardzo dużo. Posprzedawałam wszystko, co było możliwe. Z łóżka została mi tylko siatka, wsparta na czterech cegłach z litej, uzbekiej ziemi. Zresztą po jakimś czasie i to również sprzedawałam. Sprzedawałam również koce, które wcześniej otrzymałam z Unrry. Za wiele do sprzedaży nie miałam.

Wreszcie zebrałam tę sumę i przekazałam ~~te sumę~~ ją kompetentnej osobie. Blankiet, odpowiednio wypełniony został podpisany na milicji, ale NKGB odrzuciło.

Nie ustawałam w swoich staraniach. Nawet posunęłam się do tego, że zwróciłam się do wojenkomatu: powiedziałam, że swego czasu nie zostałam przyjęta do wojska, że teraz czuję się znacznie lepiej i że chcę pójść do wojska. Naczelnik wojenkomatu wyraził na to zgodę, obiecał pomóc. Akurat wyjeżdżał w delegację i zamierzał wziąć mnie w charakterze osoby towarzyszącej. Bałam się tego, ale zaryzykowałam, ale i jemu też odmówiono. W rezultacie powiedziano - wcześniej



byłam wzywana do "opiekuna", każda narodowość miała takiego w miejscowej komórce NKWD - Boże Narodzenie 1943 r spędzałam w trudnych warunkach. Ciągłe czuliśmy niepewność.

Wigilię spędzałam u koleżanki, która mieszkała razem z matką w kibitce. Razem z nimi mieszkała młoda dziewczyna, wychowawczyni, miała na imię Alina. Po przełamaniu się chlebem, który wówczas był już mocno doprawiany żmymchem czyli makuchem bawełnianym - później dopiero miało się okazać, że był to dodatek bardzo trujący i powodujący ślepotę, wycofano go później. Jakis udział w tym mieli piekarze, którzy dodawali makuchu znacznie więcej, niż określały zalecenia. Wygospodarowaną w ten sposób mąkę można było ukraść.

Przełamaliśmy się chlebem, miałyśmy też gotowany ryż, i to była nasza cała wigilia. Po kolacji zostałam tam na noc, bo w Namanganie grasowała groźna banda "Czarny Kot". Wówczas koleżanka i jej matka zaczęły opowiadać, w jakich to koszmarnych warunkach były one deportowane rodziny leśników z terenów Białowieży i okolic. Ona sama była z Białowieży. Zamarznęte dzieci były rzucane do sniegu, wcześniej odbierano je matkom, które jak mogły najdłużej ukrywały te trupki. Ciało wyrywano matkom dosłownie z rąk, przemocą. Opowiadanie było niesamowicie makabryczne.

29 stycznia miałam nocny dyżur w szpitalu. Wieczorem, ok. 19-tej otrzymałam wezwanie od dyrektora szpitala. Podobnie jak w Białymstoku, u dyrektora był jakiś mężczyzna. Kazano mi się ubrać i iść z nim. Pamiętam, że dyrektor miał nazwisko Rawkin. Zapytałam dyrektora, czy on zna tego człowieka i czy ja mogę spokojnie iść z tym panem, bo pan dy-

rektor wie, że na ulicach jest niebezpiecznie. Dyrektor zapewnił mnie, że ten pan jest tym, za kogo się podaje.

Ten pan zaprowadził mnie na NKWD. Tam zaczęło się przesłuchanie, pytania dotyczące jednej z moich koleżanek, którą posądzano o antysemityzm. Jako dowód na to zaczęli powtarzać fragmenty rozmów, które trwały podczas wigilii. Byłam tym zdumiona dokładnością informacji. Zastanawiałam się, czy nie podsłuchiowano nas z zewnątrz? Do dziś nie wiem i nie chcę dociekać, jak to się stało.

W czasie przesłuchania stosowano metody stare jak świat. Najpierw obiecywano. Później wyłożono pistolet na biurko i powiedziano, że jestem wrogiem Związku Radzieckiego, skoro nie chcę potwierdzić oczywistych spraw.

Odpowiedziałam, że dowodem na brak mojej wrogości do ZSRR jest moja praca. Ponadto zależy mi na ich szacunku i dlatego nie mogę potwierdzać czegoś, o czym nie wiem.

Rozmowa przeciągnęła się, było już po północy. Wówczas przesłuchujący wziął moją przepustkę szpitalną i stwierdził, że zaczął się akurat dzień moich urodzin. Następnie zapytał, czy ja nie chcę wyjść w dniu takim dla mnie ważnym? Odpowiedziałam, że to nie jest wystarczający powód, aby mówić nieprawdę.

Przetrzymano mnie do wczesnych godzin rannych. Następnie dokładnie przeczytałam, a następnie podpisałam protokół przesłuchania. Następnie poprosiłam, aby mnie odprowadził do szpitala. Wówczas on zażartował: pani domaga się szacunku dla siebie, ale nie ma go dla oficera radzieckiego, bo z całą pewnością do polskiego oficera w ten sposób by się nie zwróciła; pani by wiedziała, że on panią odprowadzi.

Odpowiedziałam na to, że to jest zupełnie inna sytuacja.

I rzeczywiście - odprowadził mnie do samego szpitala. Zresztą powiedziałam mu, że skoro zabrakł mi prawie jak aresztanta to i musi mnie odprowadzić.

Po jakimś czasie, zrzędzeniem losu spotkałam swoją wigilijną koleżankę na ryneczku. Akurat kupowałam szklaneczkę "katyku" /coś podobnego do jogurtu/, co kosztowało trzy ruble. Ona też tam była. Chciałam ją uprzedzić, że jest na nią nagonka, żeby uważała na swoje postępowanie. Ale ona zareagowała bardzo gwałtownie, niestosownie do chwili. W rezultacie rozstałyśmy się, bo w takiej sytuacji nie miałam jej nic do powiedzenia. Było to dla mnie straszne przeżycie stwierdzenie, że aż tak dalece można być zaślepionym. Po jakimś czasie przeprosiła się ze mną, gdy trzeba było przyjść na staż na nasz oddział. Byłam nawet jej patronką, wprowadzałam ją w tajniki pracy pielęgniarskiej.

Nasz sierociniec został powtórnie przejęty przez sierociniec polski. Dyrektorką została Anna Kleinbajcz. Była to pani, która przyszła do tej pracy w sukni z worka, a wyjeżdżając z sierocińcem w kwietniu 1946 r. miała chyba ze cwiérć samochodu swojego bagażu.

Gdy pracowałam w sierocińcu, do moich obowiązków należało sprawdzanie, co jest wkładane do kotła oraz jakości pokarmu. Nie mogłam pogodzić się z tym, że podpisywać musiałam co innego, niż było w rzeczywistości. Ona, otrzymując przydział na sierociniec w wydziale oświaty, ze wszystkimi musiała się podzielić /tak mówiła/. Niewątpliwie tak było. Ale mnie to strasznie męczyło. Zresztą obserwując jej życie nie trudno było zgadnąć, że braki powstają nie tylko dlate



go, że ona musi dzielić się z innymi. To było bardzo bolesne. Kiedy już zbliżał się termin wyjazdu sierocinca i mnie zapronowano dodatkową pracę, dr Lutek Eksztajn, chirurg, późniejszy mój ordynator, z którym pracowałam, zaproponował mi opiekę sanitarną nad całym transportem, oczywiście razem z nim. Wyjazd nasz miał nastąpić szesnastego maja. Wcześniej zaczęli zjeżdżać z terenu, bo punkt zbiorczy był w Kiszlakach. Zaczęli zjeżdżać z terenu, z Kiszlaków i tymi ludźmi też trzeba było się zająć. Już byłam wtedy na etapie opieki nad eszalonem, tym transportem. Była jeszcze jedna tragiczna rzecz. Wybuchła epidemia kokluszowa. Wszystkie dzieci musiałam przeszczepić szczepionką kokluszową. Były to bolesne zastrzyki, a igły były nieodpowiednie, surowica była gęsta, więc trzeba było robić to dosyć grubą igłą. Przeżyłam to bardzo ciężko, do tego stopnia, że pewnego dnia przyszłam do Lutka i mówię, że nie wytrzymam, nie mogę już, dostaję drżenia, jak mam kłuć te biedne dzieci, które się bronią, wykręcая się w niesamowity sposób, a ja muszę na to patrzeć i zadawać im ten ból. On mnie przyprowadził do równowagi, mówiąc, że musi na kimś polegać. Dokończyłam szczepienie. Dzieci było bardzo dużo, bo te z terenu też musiały być przeszczepione. W kwietniu zaczęły się ataki malarii nagminne, choroba popataczi, to taka choroba podobna do malarii, tylko wywoływana przez ukąszenie moskity. Choroba ta nie dawała immunitetu. Ja na tę chorobę chorowałam dwukrotnie. To jest tak straszne osłabienie mięśnia sercowego, osłabienia w ogóle i bóle głowy tak potworne, że człowiek leży i nie ma siły dosłownie palca podnieść. Tylko czuje straszliwy ból i wysoka

temperaturę i gorzko w ustach. Miałam tu bardzo dużo pracy więc podziękowałam za pracę w sierocincu, zwolniłam się na własną prośbę, przejęłam pracę właściwie na dworcu w potwornym upale, no i w punkcie, gdzie szczepiłam te dzieci przeciwko kokluszowi.

Pociąg wreszcie podstawili 1 czerwca i 2 czerwca wyruszyliśmy. Pociąg ruszył i przeżyliśmy tę radość, że zbliżamy się do kraju. Moja zaprzyjaźniona grupa zajęła górną półkę w wagonie. Panowie zrobili coś w rodzaju toalety z zasłonami z worków i nawet zaimprovizowany prysznic. Z kociołka dorobili rodzaj konewki, postarali się o olbrzymi bak jako zbiornik na wodę, także wracaliśmy w bardzo luksusowych warunkach do kraju. Jak komuś upał doskwierał, to wchodził za zasłonę i robił prysznic. Myśmy się starały o urozmaicenie jadła, bo trochę mieliśmy przygotowane na drogę konserw rybnych, bo dostaliśmy i trzymaliśmy to wszystko na podróż. Po drodze uzupełniało się jedzenie. W pobliżu Ukrainy zrobiliśmy sobie straszną fetę, bo sprzedawali z wiadra tłuczone ziemniaki i polewali cebulowym sosem. Sos był bez odrobiny tłuszczu, ale był podrumieniony i dla nas to było coś tak wspaniałego, że ja do tej pory czuję smak tego. Kartofle są teraz dla mnie prawdziwym przysmakiem, bo ja prawie sześć lat kartofli nie jadłam. Dla więzienia to było za drogie danie. Później w Uzbekistanie ziemniaków nie było. Także od 1941 roku jak mnie wypuszczono to właściwie ziemniaków nie jadłam.

Podróż przebiegała bez specjalnych zakłóceń. Panowie zabezpieczali wodę w tym baku, a myśmy się starały o jakieś jedzenie i to wszystko szło do podziału między grupę. Tak dojechaliśmy do Medyki. W Medyce zamknęli nas, zasunęli,

a chcieliśmy ucałować ziemię. Konwojenci rosyjscy pozamykali. Ponieważ było gorąco, to pozwolili potem otworzyć, ale dużo pograniczników chodziło i nie pozwalali wyjść nawet na sekundę, żeby dotknąć ziemi. Przejechaliśmy z Medyki do Przemyśla. Nie powiedziałam o tym, że do męża dałam znać, że wracam do kraju, ale podałam termin, że wyjeżdżamy 16 maja i 2-ego, 3-ego czerwca będę na granicy. Napisałam, bo już wiedzieliśmy, że jedziemy na Przemyśl. Ale wyjechaliśmy dopiero 2-ego czerwca.

Pracownik **PUR**tu szukał mnie, żeby przekazać wiadomość, żebym wysiadła w Przemyślu. Moi przyjaciele szukają mnie, ja wracam do wagonu, a oni mi mówią - że był pracownik **PUR**tu i mówił, że masz wysiąść w Przemyślu i masz się zgłosić do dyrektora banku. Gorączkowo zaczęłam zbierać swoje manatki, pamiątki/uzbeckie pijałki, które dostałam na urodziny - zostawiłam/. Państwo Żabnerowie powiedzieli - my cię tak nie puścimy, idziemy z tobą, bo chcemy wiedzieć w jakie ręce cię oddajemy. Ja byłam wśród nich najmłodsza i byłam traktowana jak beniaminek. Jak były święta żydowskie, to ja jedna brałam udział w tym paschalnym przyjęciu, bardzo oryginalnym, tak jak u nas wigilia czy wielkanocne święta. Jak były moje święta, to oni zawsze stawali się to zaakcentować, także ja nie odczuwałam, że jestem tzw. gojka wśród nich. To były stosunki człowiecze.

• Wobec tego idziemy razem z tobą - powiedziała Gusta i Dawid. Dawid niesie te moje tłumoczki. Mówili, że w Polsce głód to ja kupiłam za swoje grosiki 3 kilo ryżu, rodzynki, migdały. Intensywnie pracując zaoszczędziłam nie pozwalając sobie na jakieś luksusy. Miałam płaszcz zimowy podbity kocem, żeby był cieplejszy - z Unr<sup>y</sup> to wszystko dostałam.



Jakaś odzież, jakies pantofle obstalowane i to ciekawostka- obstalowane w sapożnoj NKWD, Zaprzyjaźniła się z nami Zofia - przemikły, czarujący człowiek. Ona pracowała w biurze mi- licji NKWD, nie w NKGB, bo w pewnym okresie nastąpił po- dział. Ona pochodziła z Żytomierza, nazywała się Zofia Urba- nowicz, bo męża miała Polaka, tylko nie wiedziała, co się z nim stało. Nie pamiętam przy jakiej okazji zaprzyjaźni- ła się z nami. Kupiła mi za moje pieniądze w ich sklepie sztukę jedwabiu, Gusta uszyła mi szlafrok, a ja go jeszcze pyhaftowałam. Ona zamówiła mi pantofle- modelnyje tufli, żebym miała w czym wracać do kraju. Musiałam się nauczyć chodzić, bo byłam przyzwyczajona chodzić w łapciach, które sobie sama robiłam szydełkiem zrobionym z kawałka drewien- ka. Jak szłam z pracy z sierocińca do szpitala to przecho- dziłam między polami bawełnianymi. Bawełny się nazbierało, kręciło się nici z tego. Jak dorabiałam, to brałam z artelu do przemotowywania motki nici do przekręcania w kłębki. Dawid zbił mi nawet taki koziołek, żeby mi się nici nie- plątały i żeby nikt nie musiał mi pomagać. Także w ten sposób też sobie dorabiałam.

Idziemy do tego banku/bank był bardzo blisko dworca w Przemyślu/, a tam stoi żołnierz polski z orzełkiem z ka- rabinem, młody. Popatrzył na mnie i na nich. Oni do Żydów byli raczej podobni fizycznie, a ja zupełnie nie. Mówię, że jestem tu oczekiwana, że miałam polecenie w ~~PKR~~ zgłosić się do dyrektora Banku Narodowego. Proszę poczekać -zaraz zamelduję panu dyrektorowi. Po chwili wraca, a jeszcze przed- tem był przekomiczny, bo mówi -poproszę panią o bilet. Jaki bilet? No, bilet wizytowy. Ja mówię -panie, wracam z Rosji. To ja zaanonsuję. Wraca z powrotem i mówi, że pana direkto-

ra nie ma, ale pani dyrektorowa oczekuję, ale tylko jednej osoby. Ja mówię -proszę się nie martwić, ci państwo tylko mnie odprowadzają. Zrobił wielkie oczy, jak zobaczył, że ja i oni zaczęli płakać jak żesmy się żegnali. Jeszcze Gusta powiedziała, że są już spokojni, że wszystko jest w porządku

wchodzę tam/przepiękne mieszkanie/. Na podeście oczekuje mnie pani dyrektorowa. Ja oczywiście ubrałam się w swoje modelngje tufli, żeby jakoś wyglądać. Wracam w tym samym kostiumie, w którym mnie aresztowano. Ona mnie wita, a ja po tych woskowanych posadzkach chodzić nie umiem. Zaproponowała mi kąpiel/olśniona byłam tą łazienką/. Pan Mieczysław Wysocki -ówczesny dyrektor Narodowego Banku Polskiego był wielkim amatorem przyjaciół "Fredrianum" w Przemyśle /teatr im. Al. Fredry w Przemyśle/ i był wówczas bardzo zajęty jego odbudową.

To było we środę, bo następnego dnia wypadło święto Bożego Ciała. Gdy wrócił i zobaczył mnie, długo mi się przyglądał aż rzekł: myślałem po otrzymaniu listu od pani męża, że żona dyrektora banku będzie osobą bardziej wiekowo zaawansowaną. Wyjaśnił mi, że nie mógł mnie oczekiwać na dworcu, bo nie było wiadomo, kiedy przyjadę. Dlatego umówił się z miejscowym PUR-em, że gdy się pojawię, mają mnie skierować do niego. Także mąż nie mógł z tych powodów oczekiwać mnie w Przemyśle, gdyż chciał zachować urlop na czas, gdy powrócę.

Pan dyrektor proponował mi pożyczkę. Nie wiedziałam ile pożyczyć, bo nie znałam obowiązującej waluty ani cen. Gdy wspomniał, czy wystarczy mi dwa tysiące, ja pamiętając siłę nabywczą polskiego złotego przedwojennego pomyślałam, że to jest zawrotna suma i czy będziemy mogli to oddać.

Zaczęliśmy się zastanawiać nad moim powrotem. Mogłam nadal jechać dotychczasowym transportem, bo nasz eszelon jeszcze stał na stacji. Mogłam też jechać do Krakowa, skąd chodził - wprawdzie z powybijanymi szybami/ pociąg do Warszawy. Była też możliwość jazdy z licznymi przesiadkami przez Przeworsk, Rozwadow i Lublin. Takie informacje uzyskał sam pan dyrektor, któremu na kolei nisko się kłaniano, bo to były jeszcze dawne czasy.

Zdecydowałam się jechać trasą z przesiadkami. Jednak państwo dyrektorowie zatrzymali mnie na Boże Ciało. Zresztą w tym dniu odbyły się nasze dokładniejsze rozmowy, bo w pierwszym dniu byłam bardzo rozemocjonowana. Przecież wracałam do domu na zupełnie niewiadome mi warunki. Nie wiedziałam na przykład, jakiego człowieka spotkam w osobie męża po tylu latach. Przecież myśmy byli małżeństwem tylko cztery miesiące. Różne myśli przychodziły mi do głowy. Ja miałam świadomość tego, że się zmieniłam pod wpływem stosunków sowieckich. Mój mąż też zapewne się zmienił, bo był pod wpływem stosunków niemieckich.

Zdecydowałam się jechać. Pan dyrektor zapowiedział, że jutro idziemy na procesję Bożego Ciała. Powiedziałam, że będę go krępowała swoją obecnością z uwagi na swój, bardzo "wschodni" wygląd. Dyrektor gwałtownie zaprzeczył: moją ozdobą jest mój bardzo młody wiek, zwłaszcza jak <sup>na</sup> żonę dyrektora banku. Dodał też, że spodziewał się mnie w spódnicy z worka a spotkał bardzo elegancją kobietę. On nawet w takich sytuacjach mówił komplementy.

Nazajutrz, gdy poszliśmy na procesję, to wszystkim napotkanym znajomym przedstawiał mnie z wyraźnym ukontentowa-



niem, że mógł mi pomóc.

Mimo serdeczności pobyt tam bardzo mnie męczył ze względu na nagły przypływ wrażeń. O drugiej w nocy - 21 czerwca rozpoczynałam ~~biżak~~ podróż, na którą miałam już wykupiony bilet. Wcześniej dyrektor nadał telegram do męża do Białegostoku, podając przybliżony termin mojego przyjazdu na miejsce. Bardzo to było ryzykowne z tym terminem, bo pociągi jeździły różnie. Na dworcu powiedziano wprost, że właściwie to żadnego rozkładu jazdy nie ma. Są jedynie nakreślone ogólne ramy. Jeśli będę miała miejsce, to dojadę w oznaczonym, właściwie przewidywanym terminie.

I rzeczywiście, miałam szczęście. Najdłużej czekałam na pociąg podczas przesiadki w Rozwałowie / albo w Lublinie / w czasie podróży, na odcinku Lublin - Warszawa zetknęłam się w pociągu z NKWD-yстами. Jechałam z nimi chyba ze czterech godzin, które dłużyły mi się niepomniernie, bo oni natychmiast zaczęli mnie wypytywać /wyciągać/ o mój pobyt na Syberii. Wykręcałam się jak mogłam mając świadomość, że oni mogą mnie znowu capnąć i skierować na Sybir.

W pewnym momencie jeden z nich wyciągnął harmonię. Ponieważ lubiłam śpiewać, zaczęłam go namawiać, żeby on coś zagrał. To mi pozwoliło zmienić drażliwy i niebezpieczny dla mnie temat. Zaczęliśmy rozmowę o piosenkach, trochę im śpiewałam. Bo tu muszę powiedzieć, że w Namanganie dano nam dwie godziny na spotkania w miejscowym domu kultury. Tam śpiewaliśmy w każdym tygodniu, były prelekcje, śpiewy chóralne czy prezentacja piosenek, które śpiewaliśmy wspólnie pod znane melodie. Jedna z dowcipnych piosenek mówiła, że tu w Namanganie są czwartkowe zebrania czy referaty, na różne tematy

z dziedziny oświaty, to kultury znak: to pomyśl nie nowy a Stanisławowy, na mądre głowy.

Każda następna zwrotka poruszała inną tematykę. Chcieliśmy odejść od codzienności i nie myśleć tylko o tym, że w brzuchu burczy, że na nas jest nagonka. To nam dawało jakiś azyl polityczny. Piosenka kończyła się słowami:

-już w głowie się kręci  
-w teorii zamęcie  
-i wyszło mi z pamięci  
-kto Plato kto Spinoza  
-gdzie wiersze a gdzie proza  
-czy czytać mam Kanta  
-zachwycać się Dantem  
-czy szukać mam amanta?  
-w uszach mi dzwoni  
-to, pewno Marconi  
mądrość i ja  
marzę o twych rządach.

Niech sprawi twa moc  
by znikła zła moc  
na morzach i na lądach.

Kiedyś myślałam, żeby to wszystko nagrać zwłaszcza że piosenki z okupacji niemieckiej zostały zarejestrowane. A tych nigdzie nie ma.

Gdy dostałam pierwszy list od męża, to muszę powiedzieć że był on własnością całej Polonii /miejscowej/. Po jego otrzymaniu wyglądałam zupełnie inaczej do tego stopnia, że

każdy kto mnie spotykał natychmiast pytał, co się stało? Zawsze miałam ten list przy sobie. Znano mnie tam wszędzie, bo przecież pracowałam i w szpitalu i w domu dziecka, gdzie zawsze było dużo ludzi. Byłam też powszechnie lubiana. Mówiłam, że otrzymałam list od męża. Wówczas najczęściej słyszałam: oj, pani Jakubowska, proszę mi pozwolić chociaż dotknąć ten list. I wszyscy ten list dotykali.

List przyszedł 29 października a moje imieniny wypadają w dniu 22 listopada. Na jakieś dziesięć dni wcześniej żona mojego szefa /krewna białostockich Zyberblattów/, z wykształcenia polonistka powiedziała: napisałam piosenkę ale nie potrafię dobrać melodii. Tekst dotyczył listu.

Wracam do pociągu na trasie Lublin - Warszawa, w którym spotkałam NKWD-ystów. Jeden z nich, starszyna z harmonią, wpiisał mi sam do zeszytu piosenkę. Była to znana piosenka marynarska. W czasie podróży nauczyłam się tej piosenki i miałam ich z głowy.

W Warszawie byłam wstrząśnięta rozmiarem zniszczeń. Dotarłam chyba na dworzec wschodni. Na Dworzec Wileński było blisko. Chociaż znałam Warszawę, to jednak w tych ruinach nie wiedziałam, gdzie jestem. Z okresu przedwojennego znałam jedynie centrum miasta. A tu było morze ruin.

Miałam jeszcze nietknięte te dwa tysiące od pana dyrektora. W PURZ-e dostałam zapomogę w wysokości chyba 400 zł. Byłam tak zmęczona, że postanowiłam pojechać dorożką. Dorożka powiedział, że na Dworzec Wileńskiowiezie mnie za osiemset złotych. Kiedy zdumiona powiedziałam, że przecież to straszne pieniądze usłyszałam: proszę pani, nie tylko ja muszę żyć ale i mój koń.



Wyczerpana do ostatnich granic, nie bacząc na tę cenę, wsiadłam. I wkrótce przekonałam się, jak to było blisko. Inna sprawa, że dorożka jechała na skróty, między ruinami.

Złapałam jeszcze pociąg do Białegostoku. Pamiętam, że był chyba o godzinie 3-ej rano. Płok był nieprawdopodobny, ale jakoś złapałam siedzące miejsce.

W pociągu jechały panie z PCK. Zmierzały na Wileńszczyznę, aby towarzyszyć transportom repatriacyjnym, które miały nadjechać z tamtych stron. Natychmiast zainteresowały się mną i zastanawiały się, czy poznam męża. Mówiłam, że poznam go ale chciałam być sama i ciągle zastanawiałam się, z kim się spotkam.

Pociąg przyszedł do Białegostoku ok. godziny 14-ej. Mąż rzeczywiście był na stacji. Pierwsze jego słowa były: Lusiek, ty w tym kostiumie?

Tak wróciłam do kraju. Musiałam powtórnie uczyć się życia. Wówczas mieszkaliśmy przy ul. warszawskiej 1. Tam było mieszkanie dyrektora, Ludwika Wysockiego, dyrektora a właściwie założyciela banku jeszcze w 1918 r. On się ukrywał, bo należał do AK. To mieszkanie jego żonie zabrali jeszcze bolszewicy. To duże, pięciorożne mieszkanie było podzielone na dwa mieszkania. Właśnie dyrektorowi NBP przydzielono te dwa pokoje z ciemną kuchenką, zrobioną z przedpokoju. Tam był wysoki parter. Gdy tylko w mieszkaniu zaczynały się jakieś rozmowy, ja natychmiast podbiegałam do okna i sprawdzałam, czy ktoś nas nie podsłuchuje. Tego nawyku nie mogłam się pozbyć chyba przez ponad rok.

Po powrocie poszłam do lekarzy. Nie mogłam podjąć pracy, gdyż wreszcie musiałam być racjonalnie leczona. Ciągłe prze-

bywałam albo w szpitalach albo w sanatoriach czy na konsultacjach lekarskich. Właściwie to mogłam pojsć do pracy. Ale nie mogło to być tak, że siedziałabym na zwolnieniach a moje koleżanki by za mnie pracowały, bo w moim zawodzie byłoby to nieuniknione.

Mąż również był tego zdania i nie chciał, abym pracowała. Powiedział, że ja już dość się napracowałam i nacierpiałam.

Mąż z powodu mojego pobytu na Syberii był ustawicznie nękanym do tego stopnia, że w 1957 roku miał pierwszy zawał. Nie mieliśmy spokojnego życia. Nachodziło nas UB-e jak i szyskanowano w pracy.

Wracam jeszcze do spraw syberyjskich. Po wyjściu wojsk gen. Andersa wśród nas zapanaowała ogólna rozpacz. Było to w sierpniu 1942 roku. Zresztą już wcześniej stosunek Rosjan do nas był wrogi. Zaczęły się nocne wzywania na doprosy. Chodziło najczęściej o potwierdzenie czyjejs nielojalnej wobec władz postawy, kogoś z miejscowych Polaków.

Gdy na jaw wyszła sprawa Katyńska, wśród miejscowej Polonii powszechnie dominowało przekonanie, że sprawcami zbrodni jest NKWD a nie Niemcy. Zresztą wyjście wojska polskiego z ZSRR było prowokacyjnym działaniem Stalina. Zmniejszenie drastyczne racji żywnościowych, brak zaopatrzenia mundurowego, to wszystko jakimiś drogami docierało.

Inną formą walki z nami było rozsiewanie przeróżnych plotek o Andersie. Były to oczywiście wiadomości uwłaczające generałowi. Podobnie zresztą było po śmierci gen. Sikorskiego. Wśród nas było znowu przekonanie, że w tej katastrofie Rosjanie maczali palce.

Trzeba też powiedzieć trochę na temat przymusowej paszportyzacji. Akurat było to w porze deszczowej, kiedy to trwały straszne ulewę, przez kilka tygodni. Doszło do tego, że kibitki, nasze mieszkania z gliny - dosłownie zaczęły się rozpływać. Nie tylko na tzw. ulicach ale i wewnątrz domów brodziło się w gliniastej mazi powyżej kostek.

W tym właśnie czasie wezwano na milicję pierwszych dziejących się osób, które nie wróciły do domów. Oczywiście natychmiast zaczęliśmy się zastanawiać, o co chodzi. Siedziba milicji mieściła się w meczecie, którego gmach główny był otoczony jakby wieńcem wysokiego muru. Gdy się wchodziło wejściem, to podwórko miało kształt półkola, obudowane półkolistym murem, w którym były cele. Pomieszczenia nie były dokładnie szczelne: były liczne szpary, przez które więźniowie mogli obserwować najbliższy teren. A klimat tam był najczęściej bardzo upalny.

Po jakimś czasie doszliśmy do tego, że sprawa dotyczy paszportyzacji. Wówczas między nami powstała cicha umowa, że nikt z nas nie nocował w swoim domu. Ciągłe zmienialiśmy miejsce naszego pobytu. W takiej sytuacji władze nie były w stanie doręczyć nam wezwań na milicję. Zawsze była odpowiedź, że takiego tutaj nie ma. Nasza akcja przybrała takie rozmiary, że nastąpiło powszechne przemieszczanie polskiej ludności w danej miejscowości.

Ja często przebywałam u mojej przyjaciółki, Poli, bo sądziłam, że u niej będę mogła przenocować. Pod pachą miałam zwinięty materac. Spałam na nim, rozkładając go na polepie. Przechodząc do jej mieszkania przechodziłam nad strumieniem, który wpadał do rzeki będącej dopływem chyba Syr-dari.



W czasie ulewy był rwącą rzeką, gdy zwykle był spokojnym strumykiem. Kolor wody przypominał rozpuszczoną cegłę. Poślizgnęłam się na ścieżce i w ostatniej chwili zdołałam chwycić się jakiegoś krzaczka. Szczęśliwie wkrótce przecho-  
dziła tamtędy jakiś człowiek i mnie uratował.

U mojej koleżanki nie mogłam zostać, bo u niej było już 5 osób takich jak ja. Ale koleżanka zaprowadziła mnie do mieszkania, w którym mieszkali dwaj panowie i u nich zamieszkałam.

Wstrząs, jakiego doznałam podczas upadku nad rzeką <sup>(spowodował, że)</sup> zanikła u mnie miesiączka. Dostałam potwornego krwotoku, z którego ledwie wyszłam. Pomagała mi w tym moja przyjaciółka Pola, która pracowała w pralni i dostarczała mi bieliznę i inne potrzebne rzeczy.

Pod wpływem ulewnych deszczów nasza kibitka zaczęła się rozpadać. Umieszczono mnie w niszy, co dodatkowo zabezpieczało mnie przed deszczem. Ale tylko na jakiś czas: wkrótce i tam doszła woda.

W tej kibitce przeleżałam ponad dziesięć dni. Lekarz oczywiście tam nie mógł przyjść. Zostawała tylko Pola. Krwotok się zmniejszył ale nie ustawał. Ale władze w tym czasie zaczęły przeczesywać teren z milicją i z psami. I nie zważano na to, kto jest w tym domku zameldowany: wszyscy, którzy nie byli na milicji musieli stanąć w szeregu. Nas wówczas, pod konwojem z psami pognano do milicji. Nikogo nie obchodziło to, że byłam chora. Moi koledzy stanowczo przekonywali, że jestem chora, że mam krwotok, ale bezskutecznie.

W meczecie było dużo zgonionych osób. Tam nas wzywano pojedynczo do pokoju i obowiązkowo nakazywano przyjęcie oby-

ywatelstwa: mieszkasz w Związku Radzieckim. Odpowiedziałam, że owszem-mieszkam, ale nie dobrowolnie.

Nie masz żadnego dokumentu a to znaczy, że jesteś "beprizorna"/włóczęga/, za co grozi kara dwóch lat. Ponieważ wzbranasz się przed przyjęciem sowieckiego obywatelstwa, to jesteś wrogiem ZSRR. A za to jest kara 8 lat. Łącznie otrzymasz karę 10 lat więzienia.

Odmawialiśmy. Ale zaczęliśmy rozmawiać. Udało mi się nawiązać kontakt /przez ubikację/ z tymi, którzy już siedzieli wcześniej. Naradzaliśmy się, co robić. Ale siedzieliśmy całą dobę. Postanowiliśmy, że skoro to jest zbiorowy przymus, to przecież ktoś się o nas upomni, gdy wrócą normalne czasy. Stąd wynikał wniosek, że powinniśmy to obywatelstwo przyjmować. Wiedzieliśmy, że przecież nikt z nas ponownego więzienia czy zsyłki nie przeżyje.

Kiedy zaczęto nas wzywać ponownie na przesłuchania, podpisaliśmy dokumenty z tym, że byliśmy przekonani, że to jest niemożliwe, aby o nas Polska się nie upomniała. Przecież to nie jest zgodne z naszym, polskim prawem.

Nie wszyscy dostali paszporty na urzędowym papierze. Większość otrzymała paszporty tymczasowe. Ja otrzymałam taki, który zawierał nakaz zgłaszania się raz w miesiącu na milicję, bo wcześniej nie miałam żadnych dokumentów od czasu ich kradzieży.

Ci, którzy z nas zostali wezwani jako pierwsi i nie mieli możliwości skontaktowania się z innymi nie wiedzieli, czy ta akcja dotyczy tylko ich czy całej społeczności polskiej. Oni nigdy nie wrócili i nie wiadomo, co się z nimi stało. Nigdy nie nawiązaliśmy z nimi żadnego kontaktu. Wśród nich

był dr Anhalt /imienia nie pamiętam/. On był opiekunem i wychowawcą grupy starszej młodzieży żydowskiej. Jego żona, Regina, wyszła ponownie za mąż za inż. Szapiro.

Nie wrócił również nasz delegat, przewodniczący wojewódzkiej delegatury. Nie pamiętam jego nazwiska, coś jakby Kasner a może Kacner. Aresztowano go również w tym okresie i nigdy już nie wrócił.

Nie powrócił Leon Katz, który był przewodniczącym rejonu Czustko-papskiego. Ale ta sprawa znalazła pomyslny finał - jego żonie udało się go wykupić /łapówka/.

W sierocińcu, w świetlicy wisiał emblemat: Grzeł Biały oraz krzyż. Gdy nas otoczyła milicja, byłam świadkiem niegodziwego zachowania się jednego z nich: najpierw nasmiewał się z "kurycy" i krzyża. Następnie podszedł do ściany i za pomocą bagnetu na karabinie zrzucił na podłogę. I to wszystko było na oczach dzieci.

Późniejszy bieg wypadków jednoznacznie wskazuje, że już wcześniej, przed ujawnieniem sprawy katyńskiej władze radzieckie współdziałały z polskimi komunistami. Sprawa zerwania stosunków dyplomatycznych, to koniec kwietnia, a już w maju zaczęliśmy otrzymywać pierwsze wezwania na komisje wojtkowe. Bardzo szybko powstał ZPP. Przewodniczącym instancji wojewódzkiej w Kamanganie został, deportowany z żoną Haliną i synem Jerzym i matką żony - inżynier leśnik z Biało-wieży - Wacław Krajski. Pani Halina pracowała w sierocińcu.

Trudno mi o tym mówić. Moje cierpienia potęguje krzywda macierzyństwa. Tę sprawę muszę wyjaśnić.

Notował: S. Sianko.



1. 1. 1931  
 1. 1. 1931  
 1. 1. 1931

1. 1. 1931  
 1. 1. 1931  
 1. 1. 1931

1. 1. 1931  
 1. 1. 1931  
 1. 1. 1931



1. 1. 1931  
 1. 1. 1931  
 1. 1. 1931

К С С Р  
Кустанийская обл.  
Дзержинский р-н  
Дзержинский массовх.  
№ 490  
пос. Медвенка  
Сверкова Каролина



Зову Игор. мита  
Митод Армин  
Ван. Ог. Род. Вайш

B. KRUK  
TEL-AVIV, BOX 2104

Data stempla pocztowego.

Zawiadamiam, że w październiku — grudniu 1945 r. wysłano  
Panu/i paczkę o zawartości:

sweter, para pończoch, ręcznik,  
metalowy aparat i 20 nożyków do golenia,  
grzebień gęsty, igły, nici, taśmy i gumy.

Uprzejmie proszę o potwierdzenie odbioru powyższej paczki  
na załączonej pocztówce.

Z poważaniem.

B. KRUK  
TEL-AVIV, BOX 2104

СЕСУЛИЯ ЯКОВОВНА



W Z. S. R. R.

L. dz. 1296 - / O. V. 42

## Poszukiwanie.

Jangi-Jul, dnia 2/6

1942 г.

Pan 4

Pan i Sierbaca Karolina  
Pewczetownka  
Dzietyganyński r. n.

W odpowiedzi na list Pan L z dnia

31 marca 1942

zawiadaniom, że <sup>ppor. Siergiej Jurek, ppor. Sotnicki i Siergiej, Kobryn, Jacek w 1907</sup> ~~or. post. pp. Jurek i Siergiej, post. pp. Jurek i Siergiej~~ nie zgłosili się dotychczas do Armii Polskiej na terenie Z. S. R. R. <sup>Adres na Rybnik w 1907</sup> ~~Adres na Rybnik w 1907~~ <sup>Jakoba Daw. Siergiej Sotnicki na terenie Z. S. R. R. nie jest a mianym.</sup> Jednocześnie komunikuję, że ~~teny, wrogiem z obywateli, Stajobelski i ostatni~~ ków według posiadanych informacji znajdują się na dalekiej północy. Przyjazd ich spodziewany jest nie wcześniej jak w ~~l. b. r.~~ <sup>l. b. r.</sup>

Adres Pana został zarejestrowany w Biurze Przedstawiciela Ambasady, celem ewent. wykorzystania go przez poszukiwawcę po zgłoszeniu się do wojska.

Stwierdzam zgodność niniejszej ksero-  
kopii z oryginałem, który przed skopio-  
waniem uchwaliłem opisać i nie  
stwierdziłem na nim żadnych śladów  
odcisków lub porachów czy innych, które  
mogłyby nasuwać podejrzenie co do  
rysydności dokumentu. **Wierzytelnie podpisujący Komisję**  
**d/le kambalanchwa**

Date: 1984-03-12

22.

**dr. Aleksander Trochimowicz**  
podpis

SZEF BIURA OPIEKI NAD RODZAJOWSK.

Dr. JAN KACZKOWSKI  
KAPITAN

POST CARD ПОЧТ

TEL AVIV 15

No 0240

Mr.

Mrs

Mrs  
Jadwiga : Rajtana  
Sev. Tarachuk - ob.  
Mawlick, ry.  
s/s Koskresienski.

Кому УВД УМВД  
наименование адресата

наименование края и области

района

места, села, деревни, станции

[illegible]

улица, № дома, квартиры

почты

PRINTED  
REGISTERED

za zgodności  
z oryginałem

verte

dm. 20.03.92 ✓

*[Signature]*



POLSKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANA  
D'O SPRAW EWAKUACJI  
osób narodowości polskiej i żydowskiej  
na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

ZAŚWIADCZENIE № ЖЭ 03724.

Ob. Jakubowska  
Cecylja córka Władysława

zamieszkały (a) w. Ul. SRR  
m. Kamagan

udaje się wraz z członkami swej rodziny

nie posiada

ia stały pobyt do Polski na podstawie Umowy  
Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.



СЕСУЛІА ЖАКІВОЛЖА

# ЛИСТОК НЕТРУДОСПОСОБНОСТИ

Серия 119 № 064026

ПЕРВИЧНЫЙ — продолжение ПЕРВИЧНОГО ЛИСТКА № .....  
(соответствующее подчеркнуть)

Выдан Намаган. Карболян  
(наименование и адрес лечебного учреждения)  
18/10 1942 г. Исраилов К. Г.  
(число, месяц) (фамилия врача, выдавшего листок)  
Исраилов К. Г. 18  
(фамилия, имя и отчество нетрудоспособного) (полных лет)  
(место работы — наименование предприятия или учреждения)

ДИАГНОЗ: Резистивит Заключительный диагноз:  
(на русском или национальном языке республики)

ВИД НЕТРУДОСПОСОБНОСТИ: заболевание, несчастный случай в связи с производством или не в связи с производством, карантин, уход за больным, санкурлечение, дородовой или послеродовой отпуск.  
Указать вид нетрудоспособности  
(при отпуске по родам указать дату родов)

РЕЖИМ: Отметки о нарушении режима:

Разные отметки	Перевести временно на другую работу с..... по.....	(подписи врачей)
	Направлен на спецлечение ..... (когда) ..... (куда)	
	Направлен на ВТЭК..... 19... г.	

## О С В О Б О Ж Д Е Н И Е О Т Р А Б О Т Ы

С какого числа	По какое число включительно	Подпись
С <u>13/10/40</u> (число, месяц)	<u>двадцать две</u> (прописью число и месяц)	
С <u>24/10/40</u> (число, месяц)	<u>двадцать две</u> (прописью число и месяц)	
С <u>25/10/40</u> (число, месяц)	<u>двадцать две</u> (прописью число и месяц)	
С <u>29/10/40</u> (число, месяц)	<u>по трудовому</u> (прописью число и месяц)	

ПРИСТУПИТЬ К РАБОТЕ  
С 21/11/40 Исраилов К. Г.  
(прописью число и месяц) (подписи врачей)

Гознак. 1942.

СЕСУЛІА ІАКІВОВИЧКА



1. Cecylia Jakubowska

2. 30.01.1919 r.

3. Aresztowana 12 maja 1940 r. mieszkała w Białymstoku, ul. Staszica 8.

4. Mińsk - więzienie /do 3 stycznia 1941r/.

Witebsk - więzienie

Jarosław - więzienie

Namangan - zesłanie /Uzbekistan/.

5. Fowrót - czerwiec 1946 r.

